DŹWIGNIA

N.r 5

WARSZAWA
LISTOPAD
1927

W NAJBLIŻSZYCH MIESIĄCACH UKAŻE SIĘ MONOGRAFJA OMAWIAJĄCA SZCZEGÓŁOWO TWÓRCZOŚĆ M. SZCZUKI



M Szczutka

17/X. 1898 – 13/VIII. 1927 r.

MIECZYSŁAW SZCZUKA

Fakt śmierci zawsze narzuca poczucie pewnej bezsilności i bezradności. Zostawia je nawet wtedy, gdy przecina w sposób mniej więcej naturalny czynność życiową człowieka, który wielką część siebie już zrealizował, który kończy już i dopełnia to, czego niegdyś dokonał. To uczucie bezsilności i bezradności musi być nieskończenie większe, gdy śmierć zachodzi w takich okolicznościach, jak śmierć Mieczysława Szczuki, gdy śmierć krzyżuje i przecina w znacznej mierze niezrealizowane wysiłki, niedokonaną działalność, gdy odcina od wielkich motorów napędowych życia, ogrom wielkich zadań, ciężar olbrzymiej przygotowawczej pracy, której nikt inny w ten sposób prowadzić nie będzie mógł i nie może.

Działalność Szczuki wiąże się ściśle z pewnym zasadniczym przełomem, który zaszedł w rozumieniu sztuki, celów jej i zadań w ostatnich czasach. Szczuka był na polskim gruncie zupełnie samodzielnym inicjatorem tego przełomu, dziś jeszcze niedokonanego całkowicie — bowiem drzemią jeszcze siły, które mogą go dopełnić i wprowadzić w życie. Wtedy, gdy staną się jasne i widoczne rezultaty pracy zmarłego, będzie można szerzej i więcej mówić o tem, co zostało przezeń dokonane. Wtedy też może jego idee zasadnicze będą bardziej spopularyzowane, zrozumiałe i rozpowszechnione szerzej. Jedno jest nie do zastąpienia — energja inicjatorska, szerokość planu i właściwa mu odwaga w jego wypełnianiu. Tutaj można tylko pokrótce i zgrubsza skreślić ewolucje zmarłego, i zasadnicze dążenia, które nim powodowały w jego tak krótkiej, a tak intensywnej działalności.

Szczuka wzrastał w atmosferze wojny, która ciążyła nad rozwojem całego pokolenia. Do Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych wstąpił w 1915 r. Z gwałtownością i pasją, które cechowały go przez całe życie we wszystkiem co robił, rozpoczął opanowywanie techniki malarstwa naturalistycznego. Ceną wytężającej pracy i drobiazgowych studjów doprowadza swoje rysunki naturalistyczne do szczytu wyrazistości, (kapitalne studja owadów, liści, głowy, aktu) cechuje go przytem kolosalna szybkość pracy. Niektórzy z profesorów widzą w nim przyszłego „Matejkę". Wychowany w nastrojach mistycznych, zagrożony ciężką chorobą płuc przez znaczną część swego życia, maluje dużo na tematy religijne — miał przeszło 100 kompozycyj i rysunków z Chrystusem. Stopniowo zresztą wraz z rozwojem w Szczuce myśli społecznej, traktowanie tematów tych ulega ewolucji — nabierają one odcienia satyry. Chrystus zjawia się w polskiej współczesności — z polską, a nie rzymską policją ma do czynienia — staje

przed polskim sądem polowym. Stopniowo w miarę jak wygasają nastroje mistyczne, traktowanie tych spraw ulega dalszej zmianie — Szczuka robił świetne projekty karykatury antyreligijnej.

W dalszem posuwaniu się na drodze malarstwa naturalistycznego Szczuka natrafia na zdecydowany wewnętrzny opór.

Właściwość charakterystyczną ostatniego stulecia w dziedzinie sztuki stanowi jego "zmysł historyczny" nie spotykany w tym stopniu w żadnej epoce*). Dotychczasowy rozwój sztuki daje masę gotowych form,—naturalizm posunął do maksimum umiejętność oddawania i streszczania „rzeczywistości". Sama ta łatwość, z jaką mógł opanować technikę naturalistyczną i pokrewne, spowodowała, iż Szczuka zrozumiał, że na tem polu nic naprawdę istotnego i żywego niema do zrobienia — że pozostaje tu tylko wzrastająca ciągle jałowość i rutyna. Rozpoczyna więc eksperymenty nad formą. W skróconem tempie, zupełnie samodzielnie przebywa tę drogę, którą przechodzili przodujący artyści zagraniczni od ekspresjonistów, kubistów, dadaistów do suprematystów. Nikt w Polsce przed Szczuką nie miał równie nowoczesnego podejścia i nie analizował tak głęboko zagadnień samej faktury malarstwa, (zagadnienie barw, chropowatości płaszczyzny obrazu, sposobu użycia pędzla i t. d.).

Działalność ta zjednała Szczuce nielicznych zwolenników i naśladowców wśród młodzieży artystycznej, ale również i wielu wrogów. Zarzucano Szczuce naśladowanie kierunków, powstałych gdzieindziej i t. p. Zarzuty te dziwnie zresztą brzmiące w kraju, którego cała sztuka opierała się do pewnego stopnia na naśladowaniu obcych wzorów — w tym właśnie wypadku, w stosunku do Szczuki najmniej miały faktycznych podstaw. Szczuka nigdy zagranicą nie był — wzrastał i rozwijał się w okresie wojny, w okresie izolacji od nowych prądów zarówno na zachodzie jak i na wschodzie. Linja jego wytknięta była już w ostatnim okresie pobytu w Szkole Sztuk Pięknych.

Wytknięta została przez tę samą żelazną konieczność, która zmuszała do jaskrawego przewartościowywania i przenicowywania tradycyjnych podstaw sztuki—wszystkich usiłujących serjo pracować i myśleć artystów europejskich. Ferment w sztuce sięgający tak głęboko jak nigdy dotychczas—powstał pod skombinowanem działaniem całego szeregu czynników zarówno specjalnych, wchodzących w dziedzinę techniki artystycznej jak i — w stopniu decydującym — społecznych. Ferment ten z jednakową siłą

*) Musimy tu skierować czytelnika do artykułu p. t. „Sztuka a rzeczywistość" w Nr. 4 „Dźwigni". Artykuł ten jest częściowo rekapitulacją poglądów M. Szczuki na te kwestje.

wystąpił we wszystkich działach sztuki — zarówno w sztukach plastycznych, jak w literaturze, czy muzyce.

Równolegle z przewartościowaniem formalnem — właściwie nawet jako jeden z warunków tego przewartościowania — występuje znaczne zredukowanie zadań, rozrzedzenie intensywności potrzeb, które sztuka zaspokajała. Pozostaje to w związku z rozwojem techniki nowoczesnej — wysuwa się tu cały szereg czynników, których znaczenie jest poprostu nieobliczalne i nie zostało jeszcze w zupełności ujęte. Gazeta uderza w literaturę, reprodukcja fotograficzna — w malarstwo, kino w jedno i w drugie. Następuje szybka zmiana ról, dziś jeszcze niezakończona. Zanik pewnych czynności powoduje stopniowe uszczątkowienie, obumieranie organów które służyły do ich wypełnienia.

Dlatego też żadna z dotychczasowych „rewolucji" w dziedzinie sztuki nie była tak radykalna, tak gwałtowna i tak przewrotowa. Każda z nich wyciągała na jaw zagadnienia formy, poddawała je analizie i przewartościowaniu, ale żadna nie traktowała ich w ten sposób. Nowoczesne kierunki artystyczne jak kubizm, dadaizm, suprematyzm wyrzuciły na pierwszy plan zagadnienia wewnętrzno-pracowniane, laboratoryjne. Artyści (zarówno plastycy jak i literaci) traktowali to jako czynnik dopingujący publiczność i zwiększający ekspresje dzieła. Częstowanie publiczności zagadnieniami formalnemi (w niebardzo czystej zresztą postaci), zrobiło się w końcu bardzo modne. Dla wielu artystów, którzy nie mogli pójść dalej — pozostało to do dziś dnia szczytem nowatorstwa w sztuce.

Jest w tem coś z bankructwa, coś z likwidacji: jakgdyby fabryka przetwórcza wysyłała na rynek nietylko swój wytwór, ale zarazem surowce, części maszyn i urządzenia z własnych biur. Bo też to było bankructwo, albo przynajmniej jego gorączkowe zapoczątkowanie — później ta likwidacja przeszła w fazę łagodniejszą, ale może skuteczniejszą.

Eksperymentalna działalność Szczuki nie była więc ani przypadkiem, ani naśladownictwem, jak to zarzucały przeróżne miernoty niezdolne do niczego innego, jak do naśladowania cudzych pomysłów. Szczuka właśnie tutaj wychodził z oceny całokształtu sytuacji w sztuce — i wysnuwał poprostu konsekwencje. Z tej prostej, krytycznej analizy, metody celów, stanu sztuki w danym okresie — oraz z uwzględnienia jej roli społecznej wynika reformatorska działalność zmarłego, która go zmusiła do wyjścia poza granice zakreślone obowiązującem rozumieniem artyzmu. W głębokości tej analizy, w radykalizmie powziętych założeń Szczuka poszedł pod niejednym względem dalej, niż odpowiadający mu artyści zagraniczni.

Artyści zachodnio-europejscy wychodzili ze sztuki starej, o dużej tradycji samoistnego rozwoju i dużych tradycjach technicznych. W sztuce polskiej nie było ani jednego, ani drugiego. Artysta polski przyzwyczajony był do brania tych rzeczy intuicją — resztę nadrabiało się patosem patrjotycznym. W plastyce było to samo zresztą co w innych działach t. zw. „twórczości". Szczuka naogół nisko cenił sumienność artystów polskich i czystość ich roboty. Z szacunkiem wyrażał się o paru zaledwie nazwiskach. Odbiło się to na jego krytyce malarstwa i przyczyniło się do jego wyzwolenia z pod fetyszyzmu techniki akademickiej. Ale zarazem ten brak przytłaczających tradycji sztuki starej, pozwalał na większą swobodę krytyczną i na szerszą, swobodniejszą ocenę wielu spraw, na co nie mogli sobie pozwolić artyści zachodni.

Poszczególne etapy w najwcześniejszym okresie jego działalności znaczą wystawy w r. 1920 i 1921 w Polonji, w Warszawie. Wystawy te, przemilczane lub ośmieszone przez „znawców" miały w swoim czasie znaczenie rewelacyjne i wywarły duży wpływ na młodych artystów, przez cały szereg prób i zastosowań zupełnie nowych, niespotykanych dotychczas. W 1923 r. Szczuka wystawia swoje rzeczy w „Sturmie" w Berlinie. Były tam m. in. projekty pomników Liebknechta, Kropotkina i in., kompozycje teatralne wielopłaszczyznowe i kinowe. Prace Szczuki w dziedzinie filmu abstrakcyjnego stanowiły jedne z pierwszych w tym rodzaju. Wtedy już wystawił pierwsze projekty architektoniczne (Pałac pracy, wnętrze kina i t. d.).

Osobny dział jego prac stanowiły kompozycje malarsko - literackie. Były tu projekty książek, zawierające w kilku słowach skondensowaną treść poetycką oraz odpowiednią kompozycję plastyczną. Na szeroką skalę zakrojone były analizy psychologiczne, gdzie prosty tekst słowny przepleciony był kompozycjami graficznemi oraz graficzną ilustracją procesów psychicznych. Już wtedy dużo zajmował się drukarstwem i układami graficznemi.

Pędzony żądzą eksperymentowania Szczuka nie dbał zupełnie o los swych prac — wiele z nich sam zniszczył. Rzeczy wystawione w Berlinie pozostały już na miejscu.

W r. 1924 powstaje „Blok", grupujący artystów modernistów, którego Szczuka jest faktycznym organizatorem (wraz z Teresą Żarnowerówną). Pierwsza wystawa „Bloku" miała miejsce w marcu tegoż roku i stanowiła już dużą sensację. W „Bloku" grupowali się artyści na różnych stopniach rozwoju i o różnych tendencjach — stąd pewien eklektyczny charakter pisma tej samej nazwy. Przytem wszystkiem jednak pismo miało charakter istotnie międzynarodowy i stało na poziomie równorzędnym,

nieraz przewyższającym, identyczne wydawnictwa zagraniczne. „Blok" wprowadził nowe sposoby graficzne, które wywarły później wielki wpływ na drukarstwo. Szczuka występuje tu już jako konstruktywista — tu już wvraził się przełom, skłaniający go do odrzucenia malarstwa sztalugowego i pójścia na nowe zupełnie drogi.

Upadek *ideowy* sztuki w dotychczasowej formie — na faktyczne bankructwo trzeba będzie jeszcze dość długo czekać — częściowe wydarcie podstawy realnych usług, które sztuka człowiekowi oddawała — zmuszało do oparcia całego zagadnienia na podstawach pozornie nowych, a właściwie starych jak świat, to zn. na podstawach związku z całością bytowania ludzkiego. Frazes społeczny od kilkunastu lat stał się w sztuce bardzo modny, ale przeważnie służy on do zamalowania oczu publice, zatarcia wątpliwości i uspokojenia wewnętrznego samego artysty. Miało tu miejsce zupełnie podobne zjawisko, jak z używaniem motywów maszyny, które dla wielu plastyków i literatów służyło do „unowocześniania" starych ultradekadenckich motywów.

W ogólnym reklamiarskim hałasie nowoczesności w sztuce z trudnością przebija się głos tych co myślą i działają na serjo. Szczuka głęboko ujmował istotne cechy zależności sztuki od zjawisk życia społecznego, i od początku swej działalności opierał się o ścisłe myślenie społeczne.

Zresztą bardzo łatwo można zauważyć, że sama głębokość przewrotu w dziedzinie sztuki, pozorna chaotyczność tego przewrotu i jego istotna logika — stanowią tylko odzwierciadlenie identycznego przewrotu w stosunkach społecznych. Wejście proletarjatu do historji, jako czynnika decydującego, wstrząsa przecież nierównie głębiej społeczeństwem ludzkiem, niż którakolwiek z dawnych rewolucji klasowych. Wielka rzeź światowa, którą wielu traktowała jako ostatnie konwulsje starego społeczeństwa — lata wojny, lata pozornego dzikiego chaosu rzezi, gdy burżazja europejska z pozornem szaleństwem, w rzeczy samej popychana głęboką logiką rozwoju historycznego, sięgnęła aż po ostatnie zasoby krwi, zasoby gospodarcze, zasoby siły nerwowej krajów europejskich i podcinała beznadziejnie rdzeń własnej potęgi — lata owe, ich przygotowanie i efekt końcowy — pod niejednym względem znajdują swój odpowiednik właśnie w stanie sztuki ostatniej doby.

Wojna światowa nie była wprawdzie ostatnią konwulsją starego świata, ale pozostawiła po sobie rewolucję rosyjską i nowe państwo proletarjackie. Sympatje dla rewolucji, przejawiane przez przodujących artystów zachodnich nie były wcale przypadkowe — świadczyły one o instynktownem poczuciu zgodności rewolucji w sztuce z rewolucją w społeczeństwie.

Proces chaotycznego wywracania starych wartości, omackowych poszukiwań wkrótce się skończył. Równolegle z zaznaczaniem się względnej stabilizacji kapitalizmu, określiły się pozycje w sztuce. Ferment osłabł — następuje pewna konkretyzacja celów. Rozpoczyna się wycofywanie — powrót tych, co się zanadto zapędzili na dawne miejsca, które niegdyś wydawały im się przecie nie do zniesienia. Zaczynają obiegać hasła powrotu do klasycyzmu, maskujące w znacznej mierze powrót na stare śmiecie. Równolegle z tym procesem krystalizacji reakcyjnej, odbywa się krystalizacja elementów naprawdę rewolucyjnych, naprawdę przyszłościowych w sztuce.

Kierunek zwany konstruktywizmem, który dążył do nawiązania związku z życiem społecznem, nieistniejącego w sztuce ostatnich czasów — nie został „wynaleziony" przez jakiegoś artystę, ani też powstanie jego nie jest związane z żadnym krajem. Sam termin „konstruktywizm" zjawiał się niemal jednocześnie w różnych krajach Europy i w Ameryce. Ujmował on najlepiej naprawdę pozytywne wysiłki przodujących artystów wszystkich krajów.

Trzymanie się dawnej sztuki wobec redukcji jej zadań użytkowych, sprowadzało się do produkowania wartości z góry określonych jako muzealne — pozostające poza życiem. Przeciwko temu musiało być wysunięte hasło sztuki utylitarnej. Przywrócenie związku z życiem tembardziej określić musiało jej cele społeczne. Nowa sztuka musiała być sztuką rewolucyjną — nietylko w granicach formalnych — musiała być rewolucyjną społecznie. Powiązanie nowatorstwa w sztuce z dążeniami społecznemi proletarjatu występuje u Szczuki bardzo wcześnie — staje się z biegiem czasu coraz ściślejsze. Szczuka współpracuje w wydawnictwach robotniczych, w teatrze robotniczym, daje projekty plakatów i t. d. Zracjonalizowanie sztuki, upowszechnienie jej musiało się oprzeć z jednej strony na zrezygnowaniu ze starych pozycyj, na których niewiele już było do zrobienia (a w każdym razie nic naprawdę żywego) z drugiej na przywróceniu sztukom plastycznym związku z całością osiedla ludzkiego. Tą drogą Szczuka przyszedł do architektury i szeroko traktowanych zagadnień urbanistycznych dając poraz pierwszy w Polsce cały szereg nowatorskich pomysłów, które wywarły ogromny wpływ.

Dalsza jego ewolucja społeczna i artystyczna przyczyniła się znacznie do odosobnienia, w jakiem się wkrótce znalazł. W grupie „Bloku" nastąpił rozłam spowodowany w znacznej mierze tem, iż działalność taka nie mogła mieć w kraju sprzyjających warunków. Szerokość koncepcji i bezwględność przywódcy odstręczała od niego ludzi poło-

wicznych. W Polsce człowiek taki jak Szczuka, zajmujący taką pozycję jak on, do pewnego stopnia staje się instytucją — spada na niego cały szereg spraw i zagadnień nie pozostających w bezpośrednim związku z jego własną pracą. Przezwyciężając niedostatek osobisty—wraz z Teresą Żarnowerówną doprowadza „Blok" do początku r. 1926, organizuje międzynarodową wystawę architektury nowoczesnej, próbuje zorganizować w Warszawie muzeum reprodukcyj sztuki starej i nowej, które w kraju posiadającym mało dzieł sztuki miałoby ogromny wpływ na wzrost ogólnej kultury artystycznej. Pracuje w najcięższych warunkach, wsród otaczającej go tępej wrogości, urozmaiconej atakami różnych dowcipnisiów, na które zmarły częstokroć zbyt wiele zwracał uwagi.

Niewyczerpana energja i siła woli umożliwiały mu tę pracę przez czas dłuższy. W końcu jednak musiał stanąć przed zagadnieniem przymusowej bezczynności. Szczuka był w Polsce typem do pewnego stopnia anachronistycznym. Miarodajny w Polsce typ artysty, wogóle działacza w dziedzinie kultury, to albo człowiek przystosowany całkowicie do kultywowania odrębności „narodowych" i wypaczający się w tem kultywowaniu — albo też utalentowany skądinąd średniaczek, zgrabnie kolportujący co starsze nowinki zagraniczne. To wszystko przystosowane jest ściśle do arystokratyczno-konsumcyjnego charakteru kultury kraju. Typy inicjatorskie — znana to rzecz — nie udają się. Z tych niewielu ludzi, którzy wychodząc z Polski wywarli pewien wpływ w dziedzinie sztuki czy nauki — wszyscy działali na terenie obcym — czy to będzie Chopin, Curie-Skłodowska albo Conrad. By móc działać, ludzie ci musieli się ekspatrjować. Można z wszelką pewnością powiedzieć, że pozostawszy w Polsce p. Curie np. zostałaby do śmierci nauczycielką fizyki w szkole średniej, a Conrad najwyżej znanym autorem patrjotycznych nowel.

Odrzuciwszy malarstwo sztalugowe, Szczuka stał przed koniecznością zdobycia nowego terenu pracy. Te dziedziny, które mogły być polem dla jego działalności (architektura, kino, plakat na szeroką skalę) były przed nim zamknięte. Człowiek, którego celem była szeroka działalność kolektywna, artysta, który dla tego celu zdolny był przełamać w sobie wszystko—znalazł się właśnie w pozycji ośmieszanej przez siebie częstokroć, odseparowanego od życia indywidualisty i fantasty. Potężny ten umysł i talent głęboko nowoczesny, w Polsce dzisiejszej pełnemi żaglami płynącej w stulecie siedemnaste — nie mógł znaleźć żadnego zastosowania. W wieku lat 26 — 27, w okresie, gdy swą dotychczasową działalność traktował jako rzecz przygotowawczą (w ciągu ostatnich lat niszczył i palił swe najlepsze utwory młodzieńcze — nie dbał zupełnie o rzeczy wysyłane na wystawy), pomimo, iż wystarczyłaby ona niejednemu artyście na całe życie—Szczuka znalazł się

w sytuacji w której pozostawało albo cofnięcie się z obranej drogi, przekreślenie dorobku życiowego— albo przymusowa bezczynność. To też przyczyniło się do gwałtownego zajęcia się sportem. Nadmiar sił fizycznych po przebytej chorobie, nadmiar energji—wszystko to dążyło do wyładowania się w ostrych wysiłkach. Szczuka z początku rzuca się do boksu, potem jednak sport ten, jako nieodpowiedni dla intellektualisty zarzucił. W ostatnich latach na pierwszy plan jego zainteresowań wkracza sport wysokogórski.

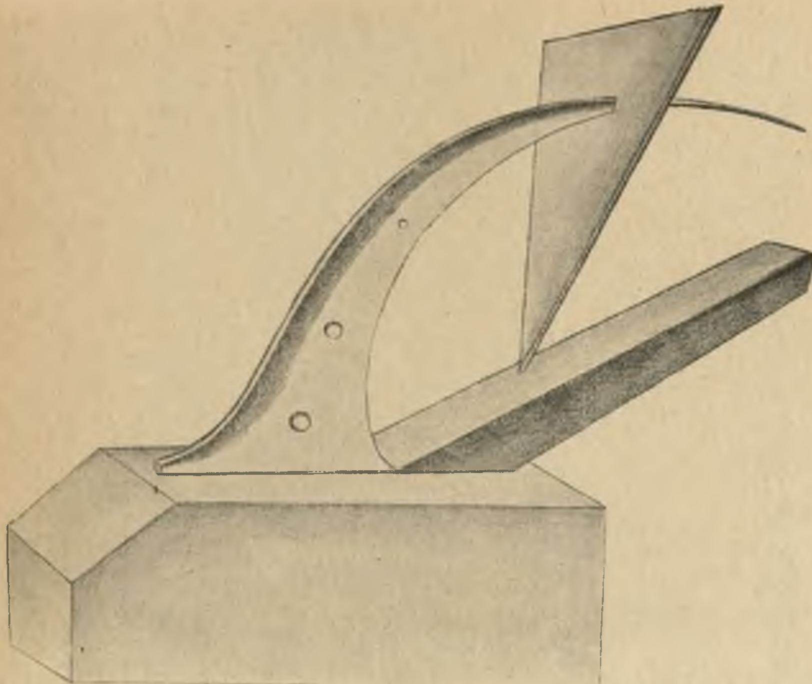
Kolosalne walory fizyczne, zdolność ryzyka, zimna krew — pozwoliły mu i tutaj nietylko wysunąć się na pierwszorzędne miejsce, ale zająć zupełnie wyjątkową pozycję. Według zdania wybitnych taterników, Szczuka w ciągu swego krótkiego „chodzenia w góry" (w czasie gdy mu na to pozwalało zajęcie nauczyciela rysunków w szkole średniej) wśród szemrania i niechęci starych taterników, zmienił radykalnie stosunki w tym sporcie, pogląd na trudności poszczególnych zadań i t. d. Nieopatrzność w wyborze przypadkowych towarzyszy wyprawy, wypływająca zresztą z właściwej mu ślepej ufności we własne siły — spowodowała śmierć.

Jego wspaniały, kipiący genjalnością mózg został na szarej ścianie skalnej. Przerwane gwałtownie, niezakończone dzieło jego życia oceni dokładnie ta przyszłość, dla, której pracował z wytężeniem wszystkich sił i poświęcając wszystko.

A. Stawar



M. SZCZUKA KONSTRUKCJA PRZESTRZENNA — r. 1922

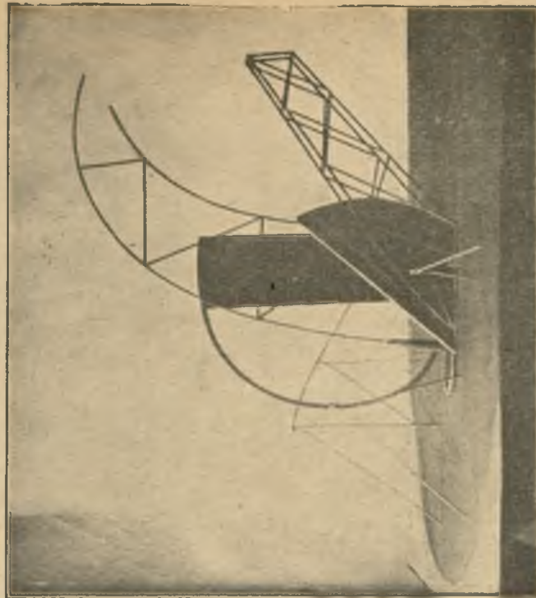


SZKIC DO PROJEKTU II-go
POMNIKA MAKSA STIRNERA
(ŻELAZO — DRZEWO — KAMIEŃ)
ROK 1923

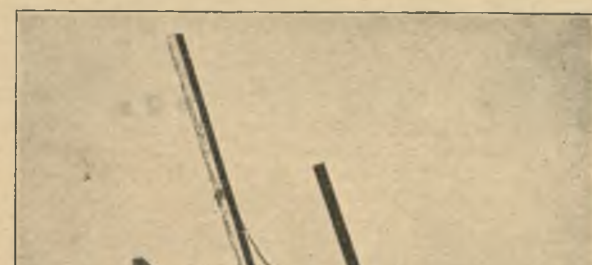


RYSUNEK ABSTRAKCYJNY

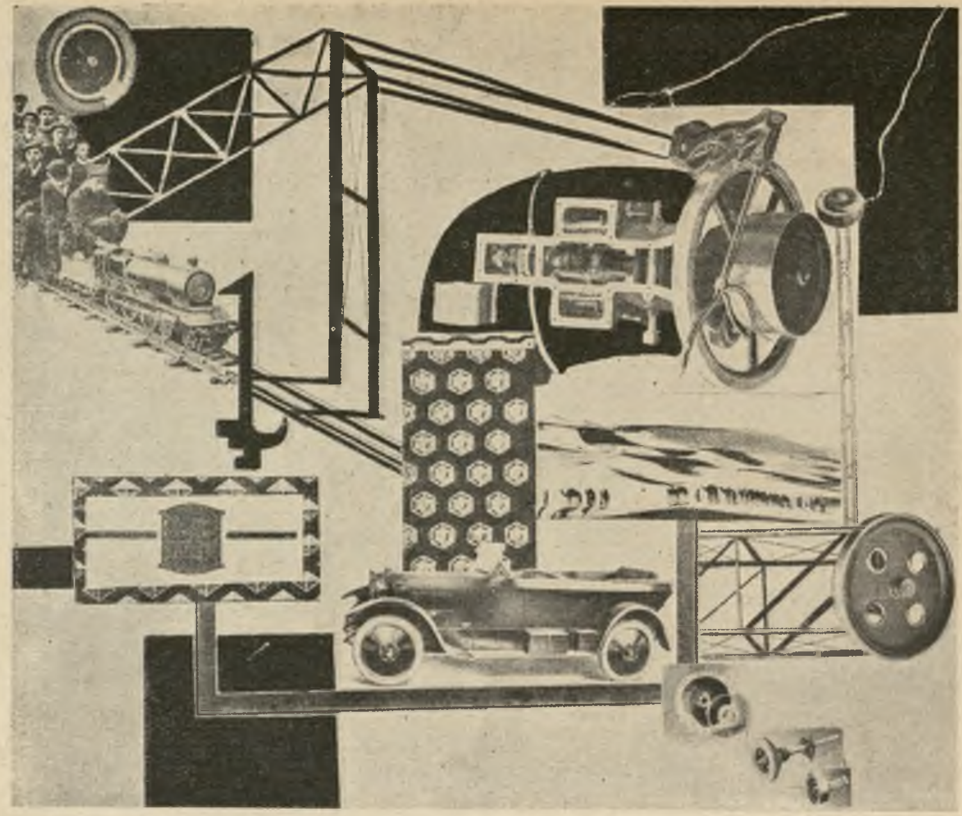
M. SZCZUKA



PROJEKT POMNIKA WOLNOŚCI Rok 1922 — 3



KONSTRUKCJA PRZESTRZENNA. Rok 1922



FOTOMONTAŻ

FOTOMONTAŻ—najbardziej skondensowana w formie poezja

FOTOMONTAŻ—POEZOPLASTYKA

FOTOMONTAŻ daje zjawisko wzajemnego przenikania się najróżnorodniejszych zjawisk zachodzących we wszechświecie

FOTOMONTAŻ—objektywizm form

KINO—jest wielością zjawisk trwających w czasie

FOTOMONTAŻ—jest jednoczesną wielością zjawisk

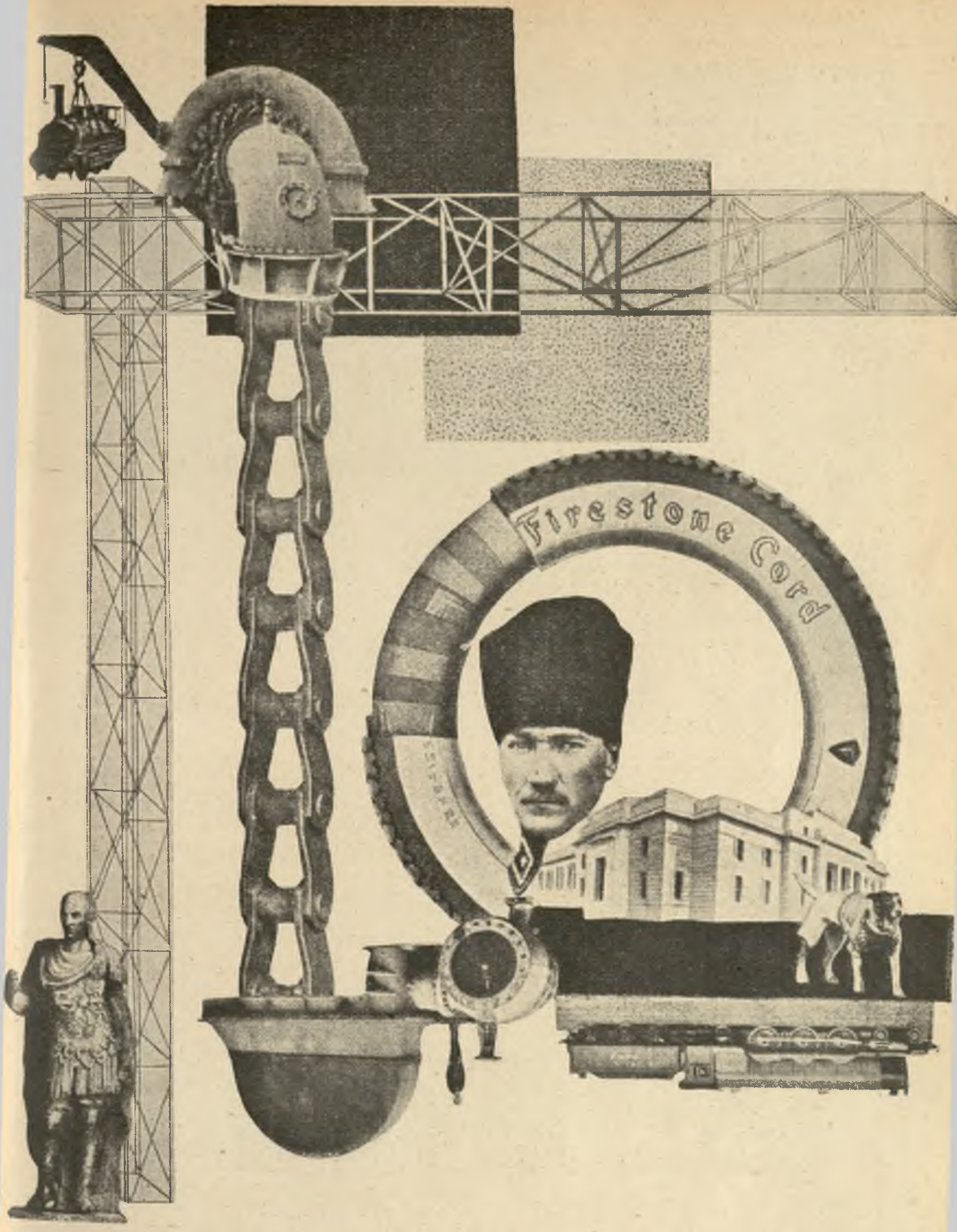
FOTOMONTAŻ—wzajemne przenikanie się dwu - i trój - wymiarowości

FOTOMONTAŻ—rozszerza zasób możliwości środków: pozwala na zużytkowanie tych zjawisk które są niedostępne dla oka ludzkiego—a które czuła klisza fotograficzna może uchwycić

FOTOMONTAŻ—nowoczesna epopea.

M. SZCZUKA

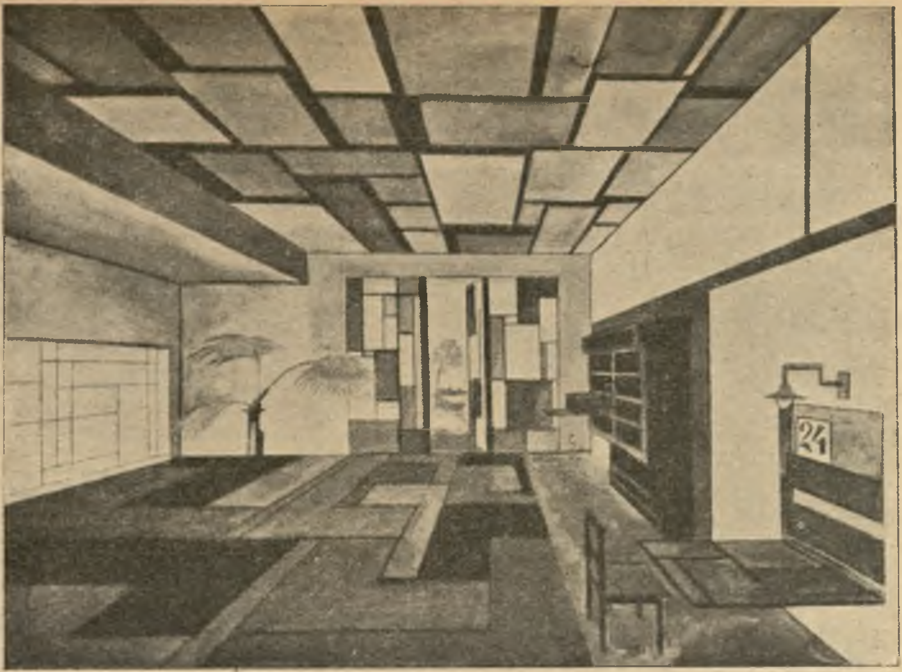
„BLOK" Nr. 9 — rok 1924



M. SZCZUKA. FOTOMONTAŻ — rok 1924



M. SZCZUKA. STUDJUM PLAKATOWE



A R C H I T E K T U R A   W N Ę T R Z

Zachowanie umiaru — równowagi w warunkach: 1) przeznaczenia; 2) wygody; 3) higjeny; 4) przyjemności (= zmysł estetyczny) — da ekonomiczną całość.

Pokoje w każdej chwili mogą być przeistoczone: były: 2 sypialnie i jadalnia — jest: sala do przyjęć lub zebrań. Przesuwamy ściany; łóżka, szafy, stoły — giną lub wychodzą ze ścian.

W ścianach maximum przestrzeni oszklonych: można je w każdej chwili zmniejszyć: ścianami zasuwanemi.

Wnętrze utrzymane w systemie konstrukcyjnym, pozwalającym na te przemiany: system poziomych i pionowych lub system krzywych — daje zawsze w sumie przyjemną całość (= estetyczną).

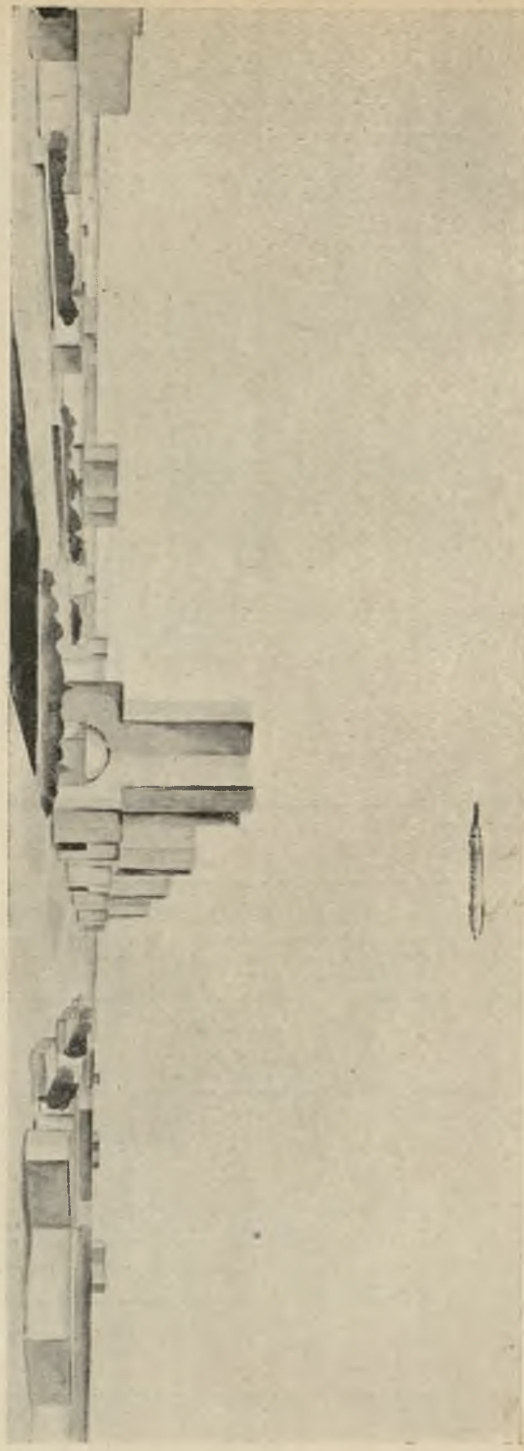
Wielkie przestrzenie okien doprowadzających światło dzienne — pozwalają a nawet wymagają barwy: sufit, ściany, meble, podłoga — są barwne.

Barwa jest radością życia. Barwa jest organicznym składnikiem każdej rzeczy.

M. SZCZUKA
„BLOK" Nr. Nr. 8—9 rok 1924

FRAGMENT SZKICU URBANISTYCZNEGO

Rok 1925—1926



Zmienić materjał dopiero znaczy zmienić budownictwo; do chwili zmiany materjału będziemy stale popełniać kompromisy.

Nie należy wyodrębniać budynku lub kompleksu budynków; należy je utopić — rozpuścić w przestrzeni.

Budynek nie powinien oddziaływać jako bryła, lecz jako kompleks barwnych płaszczyzn, nierozdzielnie związanych z otaczającą je atmosferą.

Symetrja podkreśla bryłę — asymetrja łączy je z przestrzenią.

Osiągnięcie najdoskonalszego złączenia barwnych mas budowli z otaczającą przestrzenią-zdobędziemy, nadając budowli jaknajwiększy wyraz jej zasadniczej cechy — statyki.

Większość maszyn, a więc narzędzi ruchu ma układ form — statyczny.

Nie sposób jest pomyśleć, żeby jakakolwiek forma architektoniczna mogła być przeniesiona w jej dotychczasowym wyglądzie do nowego budownictwa.

Pion i poziom winien być decydującym punktem wyjścia rozwiązań architektury.

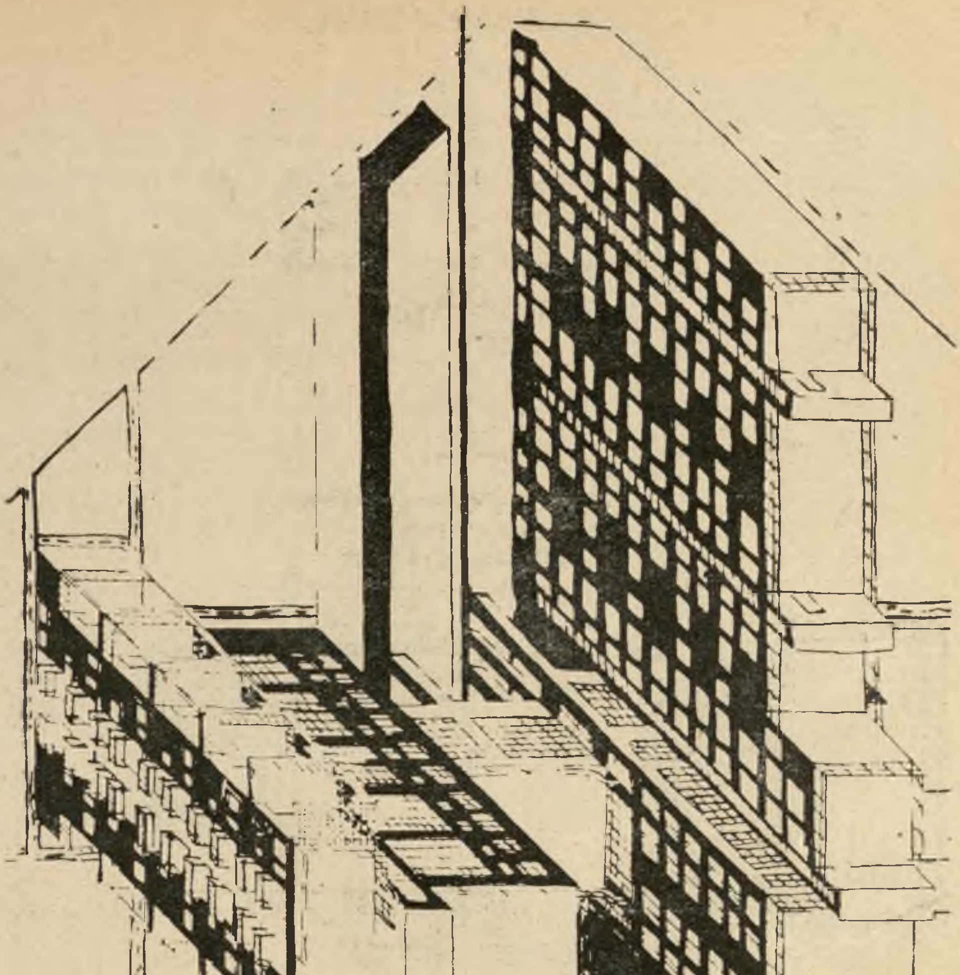
Nowe budownictwo jest budową miast - ogrodów, w których z poszczególnych elementów jak: budynki, roślinność, przestwór powietrzny, arterje komunikacyjne etc. buduje się obraz pełen harmonji i ładu.

Osiedla ludzkie nie mogą przedstawiać widoku sprzeczności dysharmonji i przypadkowości.

Powietrzna przestrzeń i barwa są czynnikami, które przy odpowiedniem rozplanowaniu mogą nadać całości najwyższy wyraz równowagi i spokoju.

M. SZCZUKA

„BLOK“ Nr. 6—7, rok 1924

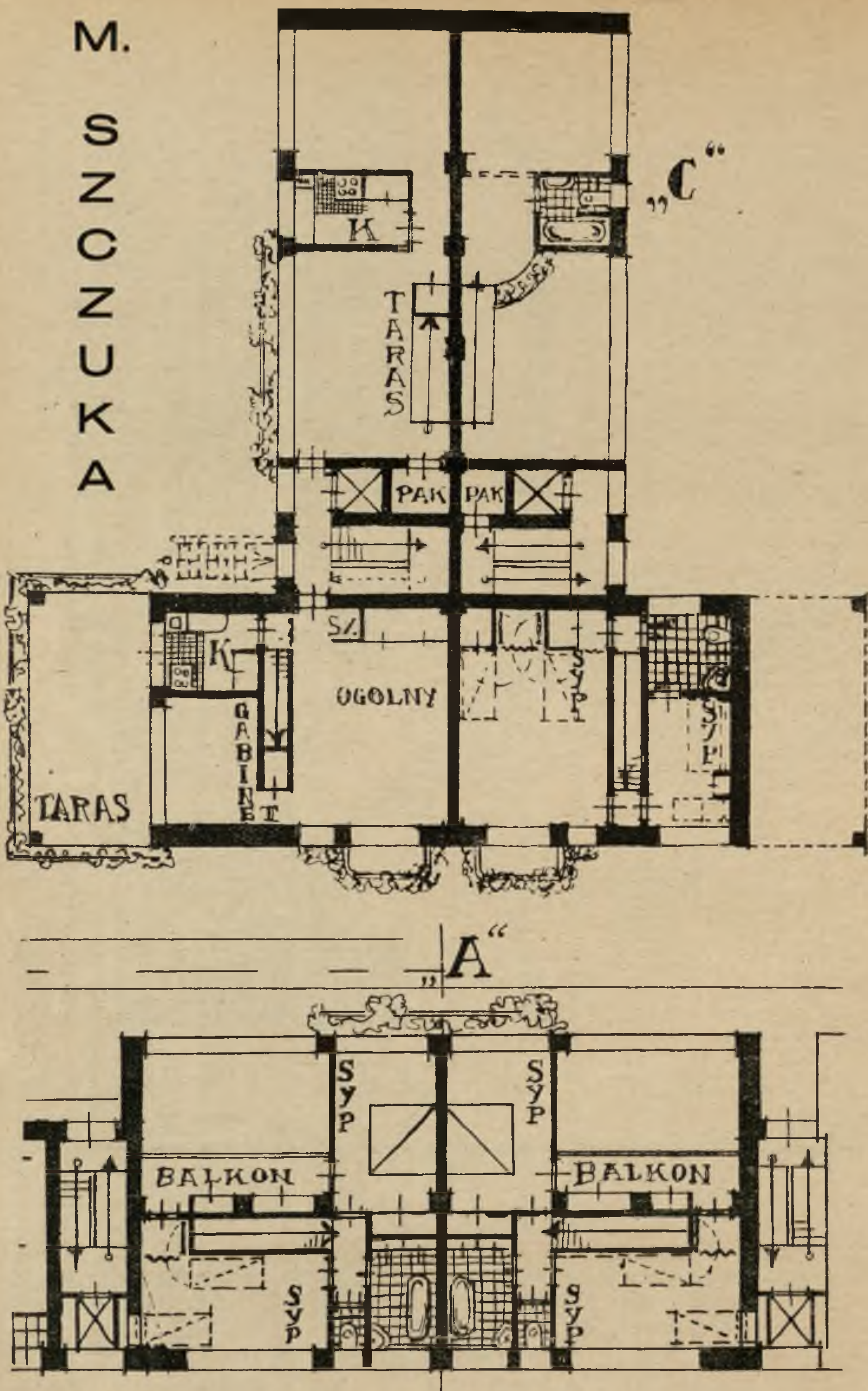


FRAGMENT KOMPLEKSU MIESZKANIOWEGO

M. SZCZUKA (patrz Nr. 1 „Dźwigni")

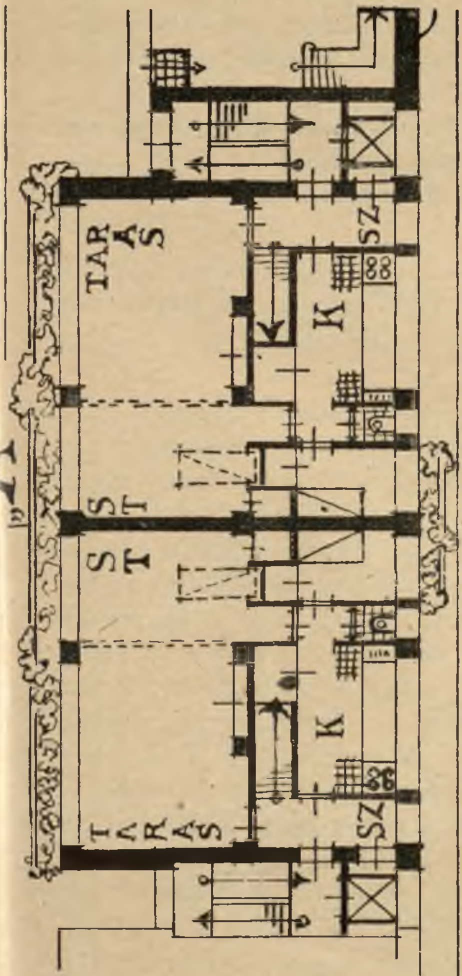
Nie wolno projektować mieszkań bez związku z całością osiedla. Mieszkanie jest komórką organicznie związaną z całością osiedla od niego uzależnioną i jemu swe wymagania narzucającą. Skupia się większe ilości mieszkań na jaknajmniejszym terenie budowlanym — a zyskuje się na przestrzeni dzielącej od sąsiedniego skupienia.

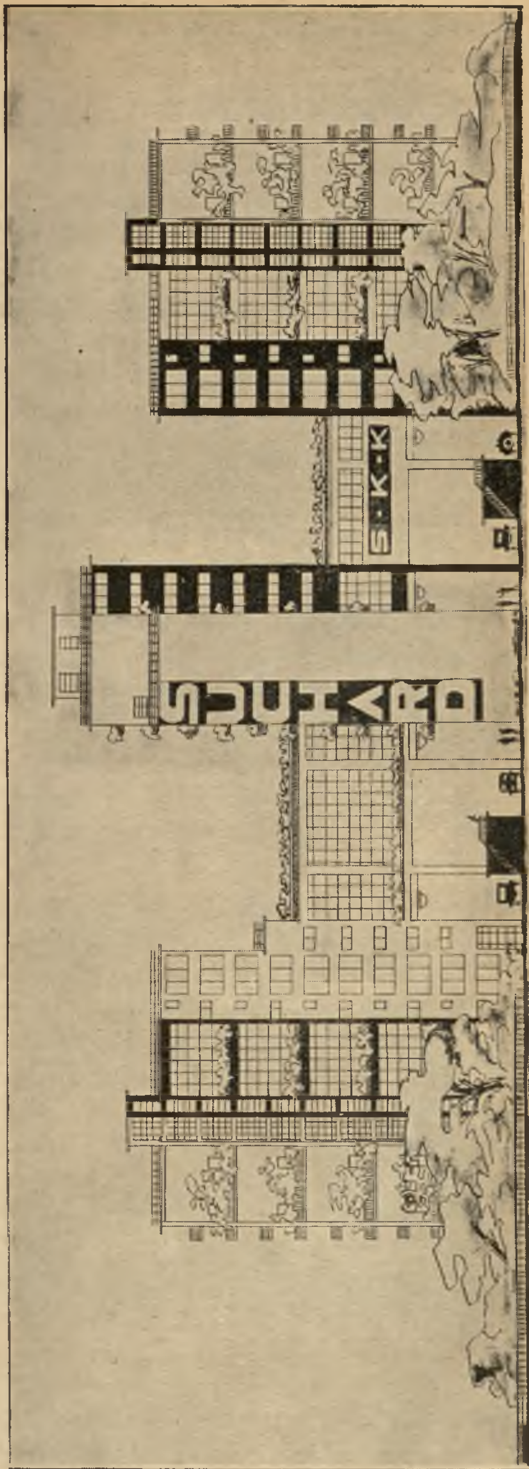
M. SZCZUKA


„C"
K
TARAS
PAK
PAK
SZ
K
OGOLNY
GABINET
SYP
SYP
TARAS
„A"
SYP
SYP
BALKON
BALKON
SYP
SYP

FRAGMENTY KWARTAŁU MIESZKANIOWEGO

M. SZCZUKA
patrz Nr. 1 „Dźwigni"





Z ZAPISEK TATERNICKICH

M. SZCZUKA

LATO 1926 R.

Aczkolwiek mamy teraz lato (deszcz i deszcz—ale lato) chciałbym wśród różnorodnych zapisanych tu wspomnień dać obraz górskiej zimowej wycieczki, tak innej, różnej od tego czem góry darzą nas latem.

Dn. 5/IV r. b. w cudny bezwietrzny i bezchmurny dzień, dokonałem pierwszego zimowego wyjścia na Niebieską Turnię wschodnią granią — następnego dnia t. j. w niedzielę (6/IV r. b.) trawersowałem grań Wierchu pod Fajki. Pomimo, że ta druga tura była technicznie łatwiejsza i mniej może efektowniejsza, jednak opiszę ją właśnie, ze względu na specjalne warunki w jakich ją odbyłem.

— Około godz. 11½ usiedliśmy (z p. F.) nad Czarnym Stawem Gąsienicowym na krótki odpoczynek i posiłek. Jednolita lukrowa polewa pokryła Tatry. Oczy błądzą po monotonnej bieli śniegów popstrzonych czarnemi krzesanicami ścianek i ścian, pooranej bruzdami lawin z pod turni Kościelca, ścian Granatów i zboczy Żółtej Turni. Wyżej mgły szarą, brudną masą zasłoniły szczyty — otuliły je szczelnie, ukryły przed nami z pomrukiem złowrogiej pogróżki wichru, który ziębił nas ostremi podmuchami.

Wstajemy, idziemy, omijając zdradliwe pęknięcia lodu na Czarnym Stawie. Obejrzałem się — zima rozwiesiła pod ścianami Kościelca fantastyczne wisiory lodowe, festony kruche i delikatne — pęki kwiatów leciutkich i łamliwych.

Gdzie latem prowadzi ścieżka na Granaty wznosimy się w górę, lawirując wokół woranego w zbocze Żółtej Turni żlebu, zapadając się od czasu do czasu po kolana lub po pas w sypkim śniegu. Mniej więcej w połowie wysokości żlebu, napotykamy na pogruchotany śnieg, nawalone głazy i powyrywane kosówki. Ślady lawiny. Ostrożnie by nie zbudzić licha, przemykamy się w prawo na grzędę i nią w górę. W lewo od nas wygładzony sypki stromy śnieg w żlebie grozi lawiną. Nieco wyżej serpentyną dołącza się doń nowy lawiniasty żlebik, bardziej stromy i czupurniejszy. Biało, białość mętnieje, szarzeje, szaro — te mgły uciekające przed nami do góry, przystanęły, zakotłowały — i lunęły na nas, pochłaniając nas w mgnieniu oka. Osiągamy wreszcie grzbiet Żółtej Turni i kierujemy się teraz nim w prawo. Żółta Przełęcz. Przed nami Wierch pod Fajki. Wiążemy się liną i wchodzimy nań. Stajemy przed zadaniem dzisiejszego dnia. Z pod nóg rwą się w dół olbrzymie pola śnieżne i giną w szarości mgieł, boczne żebra skalne nurkują w masach mgły i śniegu — tu i owdzie stając wściekłego dęba — by za chwilę zapaść się jeszcze głębiej. Z szaro - białej otchłani wyrwała się grań, zwiewna, maja-

cząca niesłychanie śmiałemi zarysami — wystrzeliła zębami iglic i piramid. Przystanęliśmy. Jest około 3-ej i pół. Wiatr ze świstem szarpie nami, mgły zasłaniają grań, nic nie widać. — Zakładam linę o blok: najpierw F. a później ja zjeżdżamy ośnieżoną rysą na maleńką przełączkę. Nad nami majak pionowej igły skalnej — czarnej i mokrej — w tej chwili wicher uderza z wielką siłą. Przylegamy do najbliższego zębu — Niepokój. Wicher co raz to mocniejszy, należy przeczekać — minuty płyną jedna za drugą — godzina 4-ta z ogonkiem: wkrótce zacznie się ściemniać, należy działać. Posuwam się naprzód; znajduję się na ścianie obelisku. Próbuję go wziąć ostrzem zupełnie pionowem, wprost w górę. Lecz wicher i zimno nie pozwalają zdjąć grubych rękawic, czekan z głuchym dźwiękiem uderza o litą ścianę. Parę gimnastycznych sztuczek nie doprowadza do niczego — wyjście na sam wierzchołek jest trudne w warunkach letnich — obecnie stawia wielkie przeszkody. Rezygnuję więc z niego i trawersuję turniczką „normalnie". Staję na ostrzu grańki i biorę igłę w wielkim trudzie od przeciwnej strony. Towarzysz mój asekurowany z góry, wynurza się z mgły i wiatru: dzwoni czekanem i zębami i za chwilę połączyliśmy się: on z dołu — ja zjechałem na linie z góry. Należy spieszyć się: następną ściankę, ośnieżoną i oblodzoną biorę błyskawicznie szturmem — poczem przerzucamy się jej południowym grzbietem na siodełko pod następnym uskokiem. Teraz opuszczamy się nieco na stronę Pańszczycy i brniemy w śniegu sypkim i niedającym żadnego oparcia. Z trudem wbijam weń czekan i krótką nieco przewieszoną rysą do góry — za chwilę jestem na wierzchołku następnej Fajki. Pół godziny tracę na „wyciągnięcie" towarzysza, który wreszcie wychodzi żółty, narzekając na serce. Jak miłą jest herbata gorąca z termosu. Odpoczywamy. Godzina około 6-tej, zaciemnia się. Należy szybko działać. Ostrą, poziomą, zaśnieżoną granią zjazd wprawo po śniegu i — Pańszczyta Przełęcz. Z trudem posuwamy się w dół: lód — ślizgamy się po nim, wreszcie śnieg. Stromy, sypki jak mąka — bocznem żebrem schodzimy. Przekraczamy jeszcze jeden żlebik z lawiniastym śniegiem i asekurując się liną pod czarnemi ścianami żebra w dół. Wanty wielkie jak piec przeszły nad moją głową: to sprawka towarzysza. Śnieg popękany — kilkunastometrowe szczeliny — głębokie i czarne — szmer sączącej się w nich wody. Z uchem i wzrokiem wytężonym na każdy podejrzany ruch śniegów wśród wzrastających ciemności schodzimy piorunem po lawiniastym śniegu. Odwiązujemy się, pędem trawersujemy żleb w prawo. Z prawej strony wlewają się na olbrzymie pole śnieżne — nowe masy lawiniastego śniegu. Z pod Granatów tuż, tuż nad głowami wiszą lawinki. Masy pogruchotanego śniegu, głazy i kawały lodów — to stare lawiny, wyrzucone na przyczajone, potworne cielska lawin, po których pędzimy w dół. Kilkanaście metrów jedziemy na czekanach — i znów nurzamy się w mące śnieżnej lepkiej i strasznej. Spoceni, zziajani, z duszą na ramieniu, dobijamy wreszcie do brzegu Czarnego Stawu, uszczę-

śliwieni, że cało wyszliśmy z tego piekła. W godzinę później w mrokach nocy i mgieł pozostały poza nami koszmary lawin — pod Kościelcem wśród pohukiwania dalekiego wiatru i migotania gwiazd — obejrzeliśmy się: sen trzeciego trawersowania zimowego Fajek noc otuliła. Schronisko.

8.VIII. 26 r.

Śród nielicznych „problemów" nierozwiązanych dotychczas należy postawić na pierwszem miejscu dwa: Północno-wschodnią ścianę Rumanowego i zachodnią ścianę Łomnicy. Od lat całych mówi się o nich w taternickich kołach — są aktualne i żywe — męczące jako zagadnienia, których nikt się jeszcze nie podejmował lub ukrywał niepowodzenia nieudanych szturmów.

Zachorowałem na Rumanowego. Przed paru tygodniami powstała myśl zdobycia go. Porozumienie się z ludźmi „chorymi" na niego nie przedstawiało wielkiego trudu — i wyznaczyliśmy sobie termin: 7.VIII. b. r.

W olbrzymim amfiteatrze skalnym Białej Wody zagadka Rumanowego Szczytu strzela 700 m. ścianą ponad piargi i śniegi Kaczej Doliny — ścianą o olbrzymiem nachyleniu (ok. 60^0) w środkowych swych partjach— podciętą u dołu i ściętą pionową lub częściowo przewieszoną na właściwej turni szczytowej — wspartej na dwóch skarpach urwistych grzęd — z których prawa (orograficznie) urywa się u dołu gładkiemi pionowemi ścianami, lewa zbiega się ze ścianą Ganku oddzieloną odeń czarnym kominem. To na pierwszy rzut oka — wrażenie, gdy staniemy u stóp Zasłonistej Turni, doskonałego miejsca dla obserwacji „problemu".

Godzina 3½ rano. Zrywamy się — pogoda jaka taka — wobec czego śniadanie: i w drogę. Na bulli Kaczej Doliny krótki postój: lustracja i wybór drogi na ścianę Rumanowego. Krótka narada — każdy wyraża swą opinję o ścianie — nb. bardzo pochlebną—i w dalszą drogę. Jest nas pięciu.

Jesteśmy pod ścianą: dwie spłoszone kozice pętają się po dolnych urwiskach Rumanowego, akurat w tem miejscu gdzie mamy zacząć nasze wyjście na niego: obserwujemy je: chcą uciec przed nami, biegną w lewo nie puściło je: — wracają, pobiegły w prawo — i we wspaniałych podskokach zniknęły. Odkryły nam „drogę": „Hurra kozice!" „I kozice mogą się do czegoś przydać" opinjujemy — jak później okazało się dobrze zrobiliśmy poszedłszy śladem tych improwizowanych przewodników.

Godzina punkt 7-ma — rozpoczęliśmy wstępować na ścianę — by zejść z niej dopiero po 24 godzinach.

Gdzie śnieg wrzyna się najwyżej w ścianę, tam początek naszej drogi. Na lewo od śniegu dwa krótkie żlebiki: prawy granitowy, lewy gnejsowy,

mokry. Idziemy lewym i na grzędkę oddzielającą go od prawego. Stajemy na maleńkiej kazalnicy. Teraz około 25 m. trawersu poziomego wprawo pod próg. Próg (ok. 6 m.): wbijamy weń hak i przechodzimy go. Za progiem (ok. 75 m.) trawers łatwy ku górze do płytowej grzędy. Nią (ok. 25 m.) do góry pod turniczkę — znów trawers poziomy w lewo do olbrzymiej szerokiej rynny przerzynającej całą Pn. wsch. ścianę. Tu stajemy przed dolnem urwiskiem. Teraz źle uwarstwioną płytową rynną około 150 m. do góry, do miejsca gdzie rynna zwęża się (trawers w. lewo po płytach niemal poziomych) a w dno wrzyna się wąski żlebik. Rysą w górę — nie dochodząc pod przewieszające się w rynnie skały, na kazalnicę w małej grzędce. Z niej w górę b. trudnym terenem ok. 10 m. ścianką ukosem w prawo — poczem bardzo trudno w lewo do rysy, w której tkwi maleńka skalna platforma. Z niej wprawo do góry na grańkę i do góry pod pionowy próg. Teraz pięknym i efektownym poziomym trawersem wlewo do bocznej rysy i nią do góry do wygodnego rozszerzenia się w niej — tu odpoczywamy i pojadamy sobie od 11.30 do 12-ej. Dalej rysa rozszerza się w płytowy żlebik (ok. 50 m.). Żlebik skręca w lewo i przechodzi w kruchy głęboki komin, którym drapiemy się w górę do jego końca. Teraz upłazami na trawiastoskalistą grzędę ograniczającą główny żleb Rumanowego.

Prawą (orograficznie) stronę grzędy pod Pn. wsch. szczytową turnię do miejsca gdzie ściana ta przypiera do pn. ściany. Dotychczas szliśmy w ciągłej mgle, lecz gdy w b. fatalnym terenie rozpocząłem z Markiem atak pionowych ścian turni szczytowej, począł padać deszcz ze śniegiem. Wychodzimy do maleńkiego zacięcia na siodełko w bocznej skarpie, która urywa się natychmiast w urwisko powietrzne. Jedyna możliwość dalszego posuwania się — to wprawo do wylotu urywającego się komina w olbrzymiej zupełnie pionowej ścianie.

Co dalej? — Mokro, pada śnieg — nic nie widać. Wiemy tylko to że jesteśmy około 60 m. najwyżej od szczytu. Lecz w tych warunkach dalszy atak równa się szaleństwu. Długie narady, przed nami ostatnia partja, trudności mogą być kolosalne, a gdyby nie można ich przejść to odwrót mógłby się tam zakończyć katastrofą. Pada wreszcie ciężkie słowo: „*Odwrót*". Odwrót ten następuje długi i męczący! Noc zapada. Jesteśmy w połowie ściany. Dalej iść już nie można. Wybieramy sobie możliwie dogodne miejsce pod pionowym uskokiem ściany na trawiastej płazience wściekle nachylonej — wbijamy 3 haki, przywiązujemy się linami — i nocujemy. Marjan, Stefan i Marek mogą spać—mają wygodniejsze stanowiska ja z Janem tkwimy niemal nieruchomo przez długie 8 godzin nocy. Ja wyszedłem na tem najgorzej. Nie mogłem na chwilę rozprostować podkurczonych nóg. Ledwo zdrzemnąłem się, a już czuję że się obsuwam. Zresztą majaki lin i haków, jakie śniły się, nie były rozkoszne. Przy słabem światełku latarki ćmię papierosy i staram się nie patrzeć w otchłań powietrzną u nóg i na wściekle od pionu odbiegającą przebytą już „drogę".

Około 1-ej w nocy mgły przewaliły się: odsłoniły obrazy zaiste piekielne: Czarne upiory ścian otaczających, u nóg trupia biel śniegów, widma pełzających mgieł — szarzyzna ściany na której tkwimy, a która nachyleniem swem i strukturą wydaje się wprost nie do przebycia. — My zahartowani w walce z przepaścistością terenu — obyci z powietrznością urwisk — *nie mogliśmy* patrzeć.

Wyiskrzone gwiazdami niebo potęgowało jeszcze grozę. — Wreszcie zaczęło szarzeć. O 3¼ prześwitywać. O 4-ej ruszyliśmy zmaltretowani w dół. Schodziliśmy cały czas dokładnie po drodze naszego wyjścia. Schodząc mogliśmy ocenić dopiero trudności i przepaścistość przebytej drogi w górę — raz w raz następowały zjazdy na linie — raz w raz idący na pierwszego ginął pod nogami swych następców. O 6-ej m. 40 stanęliśmy wreszcie u stóp ściany u wylotu gnejsowego żlebiku. Przespawszy się nieco w schronisku „Salomona" — pożegnaliśmy się, każdy ruszył w swoją drogę. Tak zakończyła się pierwsza wogóle podjęta próba zdobycia Rumanowego z Doliny Kaczej: odwrotem o 60 m. od szczytu — po przebyciu około 650 m. ściany.



PRAWODAWCOM

W. BRONIEWSKI

Tobie mój gniew i pogarda
kulturo krzywdy i zbrodni!
Religjo krwi i miljarda,
jakąż mnie pieśnią zapłodzisz?

Krwią zachłyśnięty śpiewam,
krew śpiewam i krwi pożądam,
bo raziło mnie serce gniewem,
jak kat elektrycznym prądem!

Ameryko syta i tępa,
Europo ślepa i krwawa,
długoż mnie będzie potępiać
kłamstwo wolności i prawa?

Pokonały przestrzeń rekordy,
przeorały kontynent traktory,
ale wiecznie mi grozi mordem
śmiertelny fotel historji.

Położono fundament z kości
pod kamienne triumfy pionu,
aby żywe ciało ludzkości
wdeptał w ziemię beton Bostonów.

Śmierć nas woła: kto pierwej?
dwuch i miljon umarło,
miasta wzrosłe na ścierwie
dławią, duszą za gardło.

Ziemio, syta padliną
pobojowisk pracy i wojny,
przepowiadam ci: będziesz inną,
omyta żywą krwią wolnych!

Historjo! — jutro od nowa!
Gwałt niech się gwałtem odciska!
Witaj chmuro gradowa!
Błogosławię piorun co błyska!

CYRKULACJA DYKTATUR ELIPSY I GWIAZDA CZERWONA

A. STAWAR

(Konstanty Srokowski. Elita bolszewicka. Studjum socjologiczne).

Niektórzy uważają książkę p. Srokowskiego za dzieło publicysty bardzo niezależnego i śmiałego, który rzetelnie usiłuje dociekać przedewszystkiem prawdy, nie oglądając się na żadne podszczuwania i bajdy rozpuszczane o bolszewikach przez prasę burżuazyjną. Bo jakże! Prasa ta dzień w dzień od lat dziesięciu psy wiesza na bolszewikach, nazywa ich zbójami, krwawymi opryszkami, zawodowymi zdrajcami ojczyzny. A tu nagle zjawia się, i to w Polsce, autor burżuazyjny, który pisze książkę o bolszewikach, i nietylko traktuje ich „objektywnie" ale wprost unosi się nad charakterami przywódców bolszewickich, nad ich konsekwencją, siłą woli, uczciwością, zdolnością do poświęceń. Tylko chyba wyjątkowa odwaga cywilna i miłość prawdy mogła podsunąć burżuazyjnemu publicyście takie postawienie sprawy, ostro sprzeciwiające się utartym zwyczajom stosowanym przy zwalczaniu bolszewizmu.

Nie trzeba zaznaczać, że w takiem pojmowaniu pracy p. Srokowskiego, wyraża się nieuleczalna naiwność polityczna. Autor „Elity bolszewickiej", wcale nie należy do rodzaju (zanikającego zresztą) publicystów jak się to mówi „dzikich", działających w odosobnieniu wedle tego co fantazja i osobiste rozumienie sprawy podyktuje. Przeciwnie p. Srokowski jest dość mocno wmieszany w politykę czynną: redaguje „Nową Reformę" krakowską, w swoim czasie był lansowany na redaktora głównego półurzędowej „Epoki". Taki publicysta niezawodnie dokładnie waży i rozważa efekt polityczny swego wystąpienia i bynajmniej nie będzie mu się uśmiechała pozycja odosobnionego bojownika o prawdę ani też, gorzkie przeważnie, laury zbyt daleko posuniętej odwagi cywilnej. Otóż przyczyn takiego, a nie innego podejścia do kwestji „socjologicznej natury... bolszewików" szukać należy w sytuacji politycznej i zadaniach obozu, do którego autor jest zbliżony, to znaczy obozu sanacji, dzisiejszych piłsudczyków. Mimochodem zaznaczamy, że taki pseudo-objektywny, w każdym razie, nie wulgarnie paszkwilowy sposób pisania o rządzie bolszewickim, spotykał się już u ideologów obozu majowego z „Drogi" i „Głosu Prawdy" (artykuły p. Husarskiego). Rzecz w tem, iż elementy składające się na dzisiejszą sanację, znalazły się w obozie antyparlamentarnym bardzo niedawno, ideologję antyparlamentarną robią bardzo naprędce i szukają bardzo gwałtownie, argumentów dla jej pogłębienia. Próby mechanicznego przeniesienia ideologji faszyzmu włoskiego na grunt polski nie mogą dawać rezultatów. Integralną właściwość faszyzmu włoskiego stanowi jego zoologiczny nacjonalizm — a panowie z sanacji przeciwstawiają swym konkurentom z Obwiepolu właśnie swoją liberalniejszą (w słowach) politykę narodowościową. Różni ich tu właściwie od endeków bardziej realna ocena sytuacji wewnętrznej Polski, podczas gdy endecy są utopistami państwa narodowego. Dlatego też sanatorzy nie mogą zbyt wiele czerpać z faszyzmu.

Poważniejsi publicyści tego obozu przystępują więc niejednokrotnie do oceny ustroju sowieckiego bez pospolitych frazesów oburzenia i oszczerstw, chcąc znaleźć w tym ustroju, w jego funkcjonowaniu argumenty przeciwko parlamentaryzmowi wogóle. Nie trzeba chyba dodawać, że w gruncie rzeczy ten sposób postawienia sprawy, nie biorący pod uwagę istotnych zasad ustroju sowieckiego i organizacji bolszewickiej oraz podstaw, na których one się opierają, ale wyrywający na chybił trafił odosobnione cechy i właściwości dla zbudowania zupełnie dowolnych konstrukcji — sposób ten powtarzam, jest w gruncie rzeczy równie może wulgarny, jak metoda płaskich oszczerstw miotanych bez ładu i składu.

Swoją „Elitą bolszewicką" p. Srokowski niewątpliwie wysunął się na czoło tego rodzaju „badaczy". W robocie jego, szytej zresztą dość grubym ściegiem łatwo odnaleść właściwy podkład polityczny.

Najbardziej interesujący jest pod tym względem rozdział pierwszy gdzie autor wykłada teorję cyrkulacji elit według Pareta. To co autor pisze dalej o partji bolszewickiej, jej organizacji i składzie, to są rzeczy opracowane dość solidnie, z dużą ilością szczegółów i cyfr statystycznych, ale w najlepszym razie sprowadzające się do stwierdzenia, że w dzisiejszym stanie rzeczy, przy dzisiejszym stanie oświaty szerokich mas — wykonywanie funkcji państwowych wymaga całkowitego poświęcenia czasu i wyższych niż normalne kwalifikacji, co pozwala p. Srokowskiemu daną jednostkę zaliczyć do inteligencji niezależnie od jej pochodzenia robotniczego. Rze-

czy te są naogół bardzo dobrze znane chociaż i tu sprawa nie przedstawia się tak prosto, jak ją p. Srokowski przedstawić usiłuje.

Zajmijmy się jednak socjologją autora „Elity bolszewickiej":

> Wyłonienie przywódcy i poddanie się jego przewodnictwu jest pierwszym warunkiem przeistoczenia się hordy ludzkiej w skupienie społeczno-polityczne. Najstarszą i najpierwotniejszą formą władzy społeczno-politycznej jest samowładztwo jednostki, wykonywane pierwotnie w zakresie każdocześnie sprawdzalnej przewagi siły rządzącego nad rządzonymi, później zaś w zakresie samego tylko wyobrażenia o tej przewadze jakie rządzący potrafił w rządzonych wytworzyć i przez tradycję utrwalić.
>
> Udział we władzy rozszerza się w kierunku od jednostki ku grupie. Stopniowo rośnie grupa jednostek w różnym stopniu uczestniczących w rządzeniu. Maksymalnem rozszerzeniem tej grupy jest demokracja, oparta na fikcji t. zw. „suwerenności ludu". W warunkach urzeczywistnionej demokracji, w których władza teoretycznie należy do całości rządzących, więc do wszystkich, zaczyna się proces odwrotny przesuwania się władzy od wielości do mniejszości, ku grupom coraz mniej licznym z powrotem do samowładztwa jednostki, czyli do t. zw. „dyktatury". (str. 7).

Czyli, że sprawa przedstawia się przeraźliwie prosto. Społeczeństwo powstaje wtedy, gdy pojawia się „samowładztwo" jednostki. Wyraża się ono z początku w fakcie „każdocześnie sprawdzalnej przewagi siły rządzącego nad rządzonymi" to znaczy, prawdopodobnie, w przewadze tęgiej pięści uzbrojonej w jaki taki oręż. Potem ta przewaga lokuje się już na stałe w imaginacji rządzonych. W ten sposób otrzymujemy nieprzerwany genetycznie szereg „samowładców", organizujących społeczeństwo, począwszy od pierwotnej hordy ludzkiej, a skończywszy na dzisiejszem bardzo zróżniczkowanem społeczeństwie klasowem. Na jednej płaszczyźnie umieszczony zostanie zarówno członek plemienia pierwotnego, wybrany dla przewodnictwa w jakiejś wyprawie łowieckiej czy wojennej jak i miłościwie panujący z bożej łaski Ludwik, Soliman, czy Mikołaj. Potem ilość jednostek uczestniczących w rządzeniu niespodzianie zaczyna rosnąć, puchnąć, aż rozszerza się w „demokrację opartą na fikcji suwerenności ludu". Poczem zaczyna się proces odwrotny — wszystko wraca do normy— ilość „jednostek" uczestniczących we władzy, zmniejsza się, kurczy, kurczy stopniowo aż... pozostaje na placu tylko „samowładztwo jednostki" czyli dyktatura.

Naturalnie o jakiejś tam społecznej podstawie władzy, o związku jej z ustrojem gospodarczym, o jej klasowych właściwościach — mowy niema. Wszystko podciągnięte zostało pod jeden strychulec. Ktoby tam pamiętał o społeczeństwie niewolniczem, feodalnem, kapitalistycznem, które wszystkie wyłaniają najróżniejsze typy władzy, zależnie od najróżniejszych czynników społecznych i ekonomicznych. Dla p. Srokowskiego istnieje tylko samowładztwo jednostki, wyrodniejące stopniowo w fikcyjną demokrację, a potem znowu przywracane przez dyktaturę. Basta!

Ta samowładcza-dyktorska socjologja jest trochę, jak to się mówi, toporem ciosana, ale jej sens polityczny w Polsce, w roku pańskim 1927 — nie wymaga chyba specjalnych komentarzy.

> „Widzimy więc, że rozwój odbywa się niejako na linji eliptycznej. Jedna parabola tej elipsy biegnie od prymitywnego jedynowładztwa do demokracji, droga od demokracji z powrotem do jedynowładztwa czyli dykta-

tury. Poszczególne odcinki obu tych paraboli wypełnione są stopniowem już to rozszerzaniem się już to zacieśnianiem grupy w rządzeniu uczestniczącej i t. d. (str. 10).

„Vilfredo Pareto nazywa to zjawisko la circulation des élites" (cyrkulacja elit). Parabole sobie biegną, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Oto całe dzieje tego świata.

A mądry „turyński socjolog Robert Michels pisze":

„Rezultat walk klasowych (partyjnych) przedstawia się w gruncie rzeczy jako wymiana: jedna mniejszość przychodzi na miejsce drugiej mniejszości w swem panowaniu nad masą. Klasy społeczne, które w naszych oczach na scenie historji staczają swoje tytaniczne walki, mające swe najgłębsze przyczyny w przeciwieństwach interesów gospodarczych, są podobne do dwóch grup tancerzy, które w kontredansie wykonują swoje chassé croisé". (str. 10).

Kontredans nic więcej. O tem, że kontredans taki kończy się często postawieniem w kącie, a niekiedy wręcz wylaniem grupy tancerzy na zbity łeb z sali balowej (jeżeli już mamy prowadzić dalej figlarne porównanie turyńskiego socjologa) — o tem ani słowa.

Ale ciekawe, w jaki sposób odbywać się mogą rewolucje w tych tak mądrze, na wzór elipsy urządzonych społeczeństwach? Autor stwierdza, że:

„ukryta w społeczeństwie potencjalna siła niezadowolenia może być uważana za wielkość stałą" (str. 11).

Dobrze, ale w takim razie:

„Dlaczego ludzie, którzy do wczoraj żyli jeszcze całkiem spokojnie w pewnych warunkach, uważając je za niezmienne, bo zastane, nawet przez siły wyższe ponad i pozaludzkie ustanowione, w pewnej chwili uznają te warunki za niemożliwe do zniesienia i zaczynają się awanturować dopóty, dopóki ich nie zmienią, aby się znowu na czas jakiś uspokoić?"

Autor twierdzi, że ludzie awanturują się to znaczy (w tymże figlarnym słowniku), robią rewolucję, dlatego, że:

Oto potencjalna energja niezadowolenia przeistacza się w kinetyczną pod wpływem produktów rozpadu grupy rządzącej. Odrywające się od niej wskutek tego rozpadu cząstki poszczególne odgrywają w tej przemianie rolę jakgdyby katalizatorów w procesach chemicznych.

Bowiem:

Zjawisko zużywania się i rozpadu każdej grupy rządzącej jest natuturalnem i w istocie swej należy do ogólnego zjawiska zmienności i przemijalności wszechrzeczy" (str. 12).

O takich poziomych sprawach, jak jakieś tam procesy gospodarcze, narastanie stopniowe przemian społecznych, zmiany w ustosunkowaniu się sił klasowych, co podobno bardzo przyczynia się do powstania takich „awantur" — ani słowa. Elity cyrkulują. Parabole, a parabole biegają tam i z powrotem, tam i z powrotem... Zmienność i przemijalność wszechrzeczy...

Po tem przygotowaniu socjologicznem (niestety nie mogę tu przytaczać wszystkich kwiatków analizy z dziedziny socjologji elitarnej) dalsze wywody idą już autorowi gładko. Wulgarna publicystyka burżuazyjna wyjaśnia przyjście bolszewików do władzy i utrzymanie się przy niej, ich

niesłychaną przewrotnością i zbrodniczością. P. Srokowski podchodzi do sprawy ze strony nieco innej — i wyjaśnia ten fakt innemi bardziej pozytywnemi właściwościami charakterowemi bolszewików. Ale w gruncie rzeczy oba te stanowiska się pokrywają. Podobnie jak wulgarna publicystyka burżuazyjna w występkach, tak p. Srokowski w cnotach bolszewickich usiłuje utopić społeczną istotę rewolucji.

Rozdział o „umysłowości przywódców bolszewickich" otwiera p. Srokowski wspomnieniem o przepowiedniach politycznych Lenina z października 1913 odnoszących się do przyszłej wojny europejskiej oraz rewolucji. Poczem pisze:

> „Zdajmy sobie sprawę z tego obrazu:
>
> Oto emigrant rosyjski, spędzający całe dni w góralskiej chacie w Poroninie, na lekturze i pisaniu artykułów i instrukcji partyjnych, żyjący w ubóstwie, które graniczy z nędzą, na zebraniu takich samych jak on emigrantów lub nielegalnie przez granicę przekradających się przybyszów z Rosji, odcięty od wszelkich centrów kierowniczych, pozbawiony wszelkich organów wywiadowczych i informacyjnych ograniczony niemal do własnej myśli, pracującej niestrudzenie wedle przyswojonej teorji djalektycznej Marksa, stawia djagnozę politycznego położenia Europy w jesieni 1913 r., przepowiada nietylko sam wybuch wojny europejskiej, ale sposób jej przebiegu z taką niewzruszoną pewnością, że kończy wezwaniem do towarzyszy, aby w konsekwencji tej wojny przygotowywali się do objęcia władzy w... ogromnem i jakże wówczas potężnem państwie carskiem! I to wszystko zostaje wypowiedziane na tej samej konferencji, na której referent, zdający sprawę o położeniu partji w ojczyźnie, przedstawia je jako bardzo trudne, i jako jedyną, jakże charakterystyczną, pociechę przytacza fakt, że żandarmerji carskiej nigdy dotąd nie udało się schwytać całego komitetu centralnego naraz, że zawsze przynajmniej jeden jego członek pozostaje na wolności... Nie można wątpić, że gdyby ówczesnym wywodom Lenina i całej konferencji przysłuchał się był wówczas już nie jakiś wysoko postawiony i wtajemniczony mąż stanu, ale nawet przeciętny parlamentarzysta lub publicysta europejski byłby wyszedł z przekonaniem, że spędził czas w towarzystwie grupy nieuleczalnych, ale też całkowicie nieszkodliwych manjaków" (str. 39).

Nawiasem mówiąc, w swem uznaniu dla politycznych proroctw bolszewickich autor „Elity bolszewickiej" bynajmniej nie jest odosobniony. Przed paru laty p. Stroński, dzisiejszy redaktor „Warszawianki" (wtedy jeszcze „Rzeczpospolitej"), napisał artykuł ubolewający nad sprawdzaniem się prognoz Kominternu w polityce międzynarodowej i gorzko strofował kierowników tej polityki, że pracują tak, jakby umyślnie chcieli spełnić owe prognozy.

Na zasadzie takich i temu podobnych danych autor charakteryzuje umysłowość bolszewicką w sposób dość ciekawy, choć przytem nie można powiedzieć aby zachowywał się mądrzej niż ów „przeciętny parlamentarzysta lub publicysta europejski". Jeżeli ludzie nie roszczący sobie pretensji do żadnej nadnaturalnej wiedzy stawiają prognozy i przepowiadają z uderzającą ścisłością, o ile to jest w ludzkiej możności, fakty które mają się odbyć — to rzecz jasna, iż ludzie ci muszą mieć jakieś objektywne dane na których się opierają. Tymczasem p. Srokowski ma do bolszewików pretensje, że traktują jako objektywne i naukowe takie kategorje społeczne, jak „proletarjat" „klasa społeczna", „burżuazja".

W pojęciu bolszewika „klasa społeczna" nietylko pragnie, dąży, walczy, cierpi, t. j. doznaje pewnych uczuć i wykonuje pewne ruchy i prace, ale ona także myśli, analizuje, syntetyzuje, ocenia, systematyzuje, jednem słowem występuje nietylko jako istota obdarzona wolą i zdolnością ujawniania jej przez skoordynowane ruchy, ale także rozumem, a w pewnych wypadkach, np. rewolucji, zgoła cudowną nieomylnością.

Innem ulubionem przez bolszewickiego intellektualistę pojęciem jest t. zw. „proces historyczny". Wyobrażenie (!) to zaczerpnięte z chemji czy biologji i przeniesione do interpretacji zjawisk historycznych, tylko na drodze odległej zresztą analogji, mające oznaczać związek przyczynowy zjawisk historycznych i ich ciągłość, w umyśle bolszewika staje się jedną z głównych kategorji myślenia", (str. 45).

Na taki zarzut trudno właściwie dać odpowiedź. Operowanie tego rodzaju „wyobrażeniami" (jak to zresztą zaznacza sam autor) nie jest bynajmniej wynalazkiem myślenia marksowskiego. Chcąc nie chcąc musi niemi operować każdy historyk burżuazyjny, naturalnie o ile nie zechce traktować historji jako domeny „samowładców" i splotu zawiłych intryg. Są to bowiem sprawy bezsporne, stwierdzone doświadczeniem nietylko historycznem ludzkości, ale i doświadczeniom codziennem. Jeżeli weźmiemy np. historję dawnego Rzymu, to wypadnie traktować arystokrację rzymską, jako jednostkę historyczną, działającą pod naciskiem pewnych konieczności histroycznych, w myśl ochrony określonych interesów klasy. Poprzez senat arystokracja rzymska walczy o swój byt polityczny, wygrywa, przegrywa, idzie na kompromisy, *manewruje*. To samo można powiedzieć o innych klasach.

Podobieństwo albo jedność interesów wielu jednostek wytwarza ścisłą jednolitość odczuwań. W ten sposób „walczy", „cierpi", „wygrywa", cała klasa. Tak np. obecne bezrobocie sprawia dotkliwe cierpienia całej klasie robotniczej, a przynajmniej wprost lub pośrednio ogromnej większości jej członków. Jedność pragnień, odczuwań, cierpień wytwarza jedność walki.

Codzienna obserwacja przekonywuje, że to samo zjawisko odrębnego, grupowego życia spotyka się i w drobniejszych skupieniach grupujących pewną ilość ludzi koło wspólnych interesów lub nawet zainteresowań. Związek, towarzystwo sportowe, koło fabryczne żyje, rozwija się, działa lub zamiera. To samo można powiedzieć o poszczególnych instytucjach. W bardzo scentralizowanych formach władzy państwowej każdy wydział, każdy departament żyje, rozwija się, działa, ma pewne tendencje zdobywcze, dąży do rozszerzenia zakresu swej ingerencji. To samo można powiedzieć o jakiemś towarzystwie akcyjnem i t. d. w nieskończoność. To są rzeczy elementarne, spotykające się codzień. Kolektywna organizacja ludzka ma swe własne życie związane z życiem przynależnych do niego jednostek mniej lub więcej ściśle, zależnie od ostrości i siły interesów, wchodzących w grę. Posiada zawsze ludzi, którzy oddają na jej rzecz swą umiejętność działania, inteligencję, doświadczenia życiowe, które jeżeli idzie o organizacje długotrwałe, o celach i zadaniach bardzo skomplikowanych, ogarniają nieraz dziesiątki, a nawet setki lat i ustalają na dziesiątki, na setki lat metody działania, normy taktyczne i t. d. Tego zdawałoby się wyjaśniać nie trzeba. Człowiek może istnieć i działać w społeczeństwie tylko przez przynależność do klasy, do grupy. Odosobniona „jednostka" ludzka społecznie jest abstraktem. „Jednostka" ludzka nie opierająca się, choćby nieświado-

mie, na kolektywie, na organizacji, jeżeli idzie o praktyczną możliwość działania jest czemś, nieskończenie zbliżającem się do zera.

Zarazem jednak przez swe długie trwanie, przez zbieranie doświadczeń nieskończonej ilości jednostek, wielki kolektyw działający w ciągu wielkiej, a w każdym razie przechodzącej istnienie wielu pokoleń ilości czasu — pozwala ująć swą działalność w pewne normy.

Stąd przyczyna tych zastanawiających zarówno p. Srokowskiego jak i Strońskiego proroctw. P. Srokowski uznaje szczegóły ale nie uznaje metody, która niemi rządzi — traktuje on społeczeństwo ludzkie od najdawniejszych czasów do dzisiejszych dni, jako bierne, rozproszkowane stado jednostek, oczekujące przywódcy, króla, sułtana czy dyktatora.

Jak już wspomniałem cała ta sułtańsko-dyktatorska socjologja przystosowana jest ściśle do bieżącej sytuacji w Polsce i do psychologji rządzącego obozu. Dlatego właściwa zawartość studjum o bolszewiźmie wisi w próżni. Autor nawet nie trudzi się zbytnio konkretyzować swych wniosków o rewolucji rosyjskiej i o nieuniknionem zwyrodnieniu „elity bolszewickiej" w tym czy innym kierunku — i opatruje to wszystko w końcu znakiem zapytania.

Ta sama sułtańsko-dyktatorska socjologja autora nie pozwala mu dostrzec nawet takiego zupełnie niespotykanego dotychczas zjawiska, jakiem jest system sowiecki, zbliżający masy w stopniu dotychczas niepraktykowanym do najistotniejszych spraw rządzenia.

P. Srokowski te sprawy, podobnie jak społeczną i ekonomiczną podstawę władzy bolszewików — ignoruje. Wspomniałem już o politycznych przyczynach objektywizmu a nawet pewnego podziwu z jakim autor (podobnie jak niektórzy inni publicyści sanacji) pisze o bolszewikach. Ignorując społeczno - gospodarcze podstawy rewolucji traktuje ich poprostu jako zuchów, którym udało się pochwycić i utrzymać władzę w dużem państwie. A takimi chcieliby się widzieć dzisiejsi senatorzy.

Wogóle cała metoda autora skazywała go na kluczenie i lawirowanie. Wykazuje to najlepiej zakończenie pracy. Zestawienie z wielką rewolucją francuską pomimo, iż wolne od pewnych stałych wulgarności — jest mało co „przyzwoitsze intellektualnie" od innych tego rodzaju zestawień. Autor gmatwa się w przeciwstawieniach „cywilizacji rasy białej" i rewolucji bolszewickiej, rewolucji narodowej i światowej. Widać, iż materjał przerasta go, że autor traci panowanie nad materjałem. Dobre i to, że znajduje twardy ląd w stwierdzeniu tak niespodziewanej prawdy że „Rewolucja bolszewicka nie jest dziełem przypadku, nie spadła z nieba nagle i bez widocznego powodu... w rewolucji bolszewickiej elementy narodowo-rosyjskiej rewolucji połączyły się z elementami dojrzewającej wielkiej rewolucji całego cywilizowanego świata". Ależ naturalnie, to samo będzie w każdym kraju— wszędzie elementy narodowej rewolucji połączą się z elementami rewolucji całego świata.

Co prawda na samym końcu p. Srokowski rozkłada ręce:

> Zagadka pozostaje nierozwiązaną. Ognisty znak pytania, który płonie nad wschodem, nie gaśnie, lecz raczej rozjarza się coraz bardziej. (str. 121).

Pisze to, po zacytowaniu znanej przepowiedni urobionej przez cerkiew prawosławną, że „Moskwa będzie trzecim Rzymem, a czwartego nie będzie". Staćby się to mogło po objęciu „kierownictwa nad miljardem zaktywizowanych azjatów" (str. 129). „Zagadka, która każdego rozumnego i myślącego człowieka musi niepokoić". Otóż każdego „rozumnego i myślącego człowie-

ka" łatwo byłoby przekonać, że autor oszukuje swój niepokój. Rzecz nie w samym „miljardzie zaktywizowanych azjatów" ani w „trzecim Rzymie", ale w tem, że bardzo wiele miljonów europejczyków poraz pierwszy w dziejach odnalazło solidarność interesów nietylko z „miljardem azjatów" ale i z wieloma miljonami afrykanów, z wieloma miljonami amerykanów. I miljony te po zwaleniu dzisiejszego ładu zbudują nie żaden „trzeci Rzym", ale nową zupełnie organizację społeczeństwa dającą, po raz pierwszy w dziejach, możność swobodnego rozwoju wszystkich sił człowieka.

ZAKŁADNICY

BRUNO JASIEŃSKI

Świat
zawisnął
na liczbie
jak na belce dźwigara!
W każdej linie — krzyk pręży się czyjś!
Tylko nas
tylko nas
jak bezcenne cygara
zatrzasnęli
w szkatułkach bez wyjść!
Tylko nas
tylko nas
krągłogłowych i białych
jak żyjące odsetki ich rent
zatrzasnęli
jak w sejfach swoich kas ogniotrwałych
w czarnych domach
tłuc głową
o pręt!

Dzień
przysyła nam codzień
noc
przemądrą znachorkę
Z wąskich palców tchnie słodycz i chłód — —
Gdzieś
za ścianą
ćmią miasta czarnych tłumów machorkę
w fajkach fabryk
warsztatów
i hut
Długo człowiek na popiół w nich się zwęglał
i błyszczał
Skargą dymu

do nieba się piął — —
Suchym kaszlem
gwałtownym
i chrapliwym
jak wystrzał
przyjdzie kiedyś
wykasłać go
z krwią!

We snach
skaczą
jak szczurv
ręce chwytne i krewkie
w deszczu weksli
banknotów
i kart
Wszystkie rzeczy na świecie
mają szorstką podszewkę
z naszej krzywdy
rapatej
jak part
Armja mrówek nam wszechświat na atomy rozkradła
poznaczyła je:
który i czyj — —
W waszych skrzętnych mrowiskach
nasze domy-widziadła
będą sterczeć już zawsze
jak kij

Za oknami nam huczy wieczny odpływ
i przypływ
szumem kropel
namolnym
i złym
Żmudny kadryl bezmyślny
lat przestępnych i zwykłych
był łańcuchem jesieni i zim
Kiedyż wreszcie
na syren zachrypniętych skowronkach
sfrunie wiosna dla wszystkich na świat?
Na Pawiakach
w Brygidkach
po Łukiszkach
na Wronkach
my czekamy
czekamy
od lat!

Przyjdzie dzień twój —
o tłumie!
i przegródki dni martwych

runą
dane na twardy żer łbom
Wypłyniemy
na falach twoich ramion
i bar twych —
sześć tysięcy Allainów Gerbauld!
Będzie w górze
nad nami
migot źrenic
jak w lustrze — —
trzask łamiących się lodów i form
Po cieśninach
zatokach
z najludniejszych w najpustsze
będzie ciskał
i huśtał nas
sztorm

Przyjdzie czas
przyjdzie czas
szale wagi się chybną
Jeszcze rok
jeszcze dzień
jeszcze pół — —
Może nam właśnie
nam
być tą kroplą niechybną
co ciężarem
przeważy ją
wdół — —
W wrzawie obcych protestów
w zgiełku słów byle o czem
zagłuszając ich nicość i czczość
skrwawionemi rękami
w czarne ściany łomocem:
O — otwórzcie!
Otwórzcie!
Już dość!

DROGA

J. HEMPEL

Miesięcznik „Droga" uważany jest za organ grupy, nazywanej Piłsudczykami. Mam przed sobą dwa zeszyty, obejmujące pięć numerów tego czasopisma. Nie mogąc omawiać szczegółowo wszystkich artykułów, wybieram najcharakterystyczniejsze. Położenie, w którem znalazła się ta grupa, a które ona sama naiwnie widzi jako położenie całej Polski, bardzo dosadnie opisuje p. St. Zahorska w art. p. t. „Martwota kulturalna a idea kierownicza".

„Stała się rzecz dziwna — pisze p. Zahorska — że w momencie, kiedy z żywiołową siłą powinno było wybuchnąć napięcie twórcze — nastąpiło jakgdyby wstrzymanie oddechu. Przyczyny dają się zawsze dokonstruować — jednakże sam fakt pozostaje niesamowity. Jest w gruncie rzeczy niezrozumiałe, dlaczego na naszem życiu intellektualnem, duchowem, artystycznem, na całem naszem twórczem życiu wogóle,. zaciążyła jakaś martwota.

„Tragedją polskich pracowników umysłowych i artystycznych jest brak *społecznego przydziału*... Czujemy się wszycy bezcelowi i niepotrzebni".

W poszukiwaniu „Idei" p. Zahorska stwierdza:

„Żadna koncepcja realna i konkretna nie została pod słowo „Polska" podsunięta i *Polska do dziś dnia nie wie, czem ma być nazewnątrz i nawewnątrz*".

Na łamach czasopisma, wydawanego przez grupę ponoć twórców Polski nowoczesnej, brzmi to jak wyznanie zupełnego bankructwa ideowego.. Jeszcze jaskrawiej bankructwu temu daje wyraz p. M. Fularski, który w art. „Rola sportu w wychowaniu młodzieży" pisze:

„Przyczyny tego smutnego stanu rzeczy (nadzwyczaj niskiego poziomu ideowego spółczesnej młodzieży polskiej) są rozmaite. *Najważniejszą z nich jest uzyskanie przez Polskę niepodległości*".

P. Fularski powiedział to, czego nie śmią formułować bardzo liczni przedstawiciele tego obozu. Osiągnięcie niepodległości spadło na nich, jak dopust boży. Stracili cel w życiu. Czują, że zginęło im coś niesłychanie ważnego i tak wołają w niepodpisanym artykule naczelnym, dedykowanym „pułkownikowi W. S. na pamiątkę wielkosobotniej rozmowy":

„Za ciasno jest ludziom w dzisiejszej wielkiej epoce dziejowej. Wysiłki nadludzkie i śmierć, w które wczoraj życie obfitowało, dla samych idei wyrozumowanych, lub dla samej dyscypliny państwowej tylko — są sprawą nad siły. Im więcej przeto wysiłków takich poniesiono w niedawnej przeszłości wojennej i rewolucyjnej, im bardziej masową była w takich warunkach moralnych śmierć, tem silniej teraz rośnie tęsknota. Tęsknota za tem, by wymuszał na nas wysiłki pierwiastek jakiś ponadludzki, by śmierć porywała w ofiarnem całopaleniu dla idei, sięgających ponad naszą doczesność, i by życie całe, to codzienne nawet pracowite życie, opromienione było mytem, namaszczone dostojeństwem symbolów".

„*Wymuszamy na sobie niecierpliwie różne wiary* — pisze dalej ten sam autor. — Usiłowania to jednak daremne i puste".

A na pytanie, czem jest jego własna wiara odpowiada:

„*Wiarą naszą jest Polska*... Polska jako zbiorowy obowiązek wszystkich Polaków wobec świata, jako coś, co w całej pełni *niema jeszcze władzy* na ziemi i dąży ku rzeczywistości, jako przyszły porządek społeczny".

Słowem, aby stało się zadość pragnieniu p. Fularskiego, który żałuje, że Polska niepodległa już jest, nieujawniony autor tego artykułu przekształca Polskę na marę romantyczną i zapewnia, że jej jeszcze zgoła niema.

Wszystko to łączy się z nawoływaniami ku jakiejś nibyto nowej i nibyto szczególnie polskiej filozofji intuicji, entuzjazmu, uczucia, nastrojów i t. p.

P. A. Skwarczyński pisze:

„W Polsce rozwój i postęp zdobywany był — i to nietylko w ostatniej fazie dziejowej — wybuchami ducha, inspiracją, ofiarą, heroizmem, czynnym entuzjazmem. Było tak nie w jednej jakiejś dziedzinie. W dziedzinie politycznej i wojennej przykładów takich pełno, od czasów Kircholmu po czasy Piłsudskiego, w nauce — od Kopernika do Narutowicza i Curie-Skłodowskiej, poeci nasi osiągali szczyty natchnienia heroizmem ducha i czynu, filozofowie nie byli ludźmi szkoły i systematycznej metody, lecz ludźmi o apostolskiem powołaniu".

Taki artykuł — rzecz prosta — nie może obejść się bez cytaty „Mierz siły na zamiary".

Cała ta jednak metoda bezmetodyczności — wszystkie te bohaterskie wykrzykniki najwidoczniej zgoła nie przynoszą pożądanych wyników, bo — jak widzieliśmy — ci ludzie nietyle mają coś narodowi do dania, ile raczej tęsknie wyczekują, aby im ktoś coś dał, aby ich ktoś ku czemuś powołał, dzisiaj bowiem są *„bez przydziału"* jak to dosadnie określiła p. Zahorska. „Wiarę w Polskę" także dość trudno brać na serjo, skoro Polska ponoć nie wie jeszcze sama czem właściwie ma być.

„Nieprawdą jest — pisze p. Zahorska — że przyczyną martwoty polskiej są ciężkie warunki zewnętrzne. Nieprawdą jest, że kiedy trzeba zdobywać chleb, „tworzyć od podstaw", bronić granic, budować szosy, zakładać fabryki, ustalać robociznę — że niema wówczas miejsca na twórczość duchową"... „W Bolszewji do dziś dnia istnieje katastrofalny głód mieszkaniowy. Gdzieniegdzie zresztą nietylko — mieszkaniowy. Warunki produkcji nie są uregulowane, położenie gospodarcze chyba nie lżejsze niż u nas. Politycznie — nie mniej. A jednak! — Mimo wszystko Bolszewja potrafiła poddać swej woli, wprzęgnąć do zorganizowanej pracy niemal wszystkie siły twórcze, intellektualne czy artystyczne narodu. Potrafiła uzgodnić w jednym rytmie organizacji i poddać jednej idei dwie, rzekomo rozbieżne i rzekomo wykluczające się nawzajem, strony życia społecznego [1]). Mniejsza o samą jakość tej idei. Ale dla niej pracują fabryki i teatry, meetingi polityczne i laboratorja uniwersyteckie. A przedewszystkiem faktem jest, że pracują. Że Bolszewja znajduje pieniądze (skąd?) na organizację pracowni naukowych, muzeów, teatrów, na wysyłanie całych rzesz studentów na uniwersytety zagraniczne, że znajduje pieniądze nietylko dla propagandy nazewnątrz swej twórczości, ale na podtrzymanie jej wewnątrz".

P. Zahorska obok „Bolszewji" stawia także, jako przykład pomyślnego rozwoju, Włochy Mussoliniego. Nie umie jednak podać żadnych rzeczywistych przykładów ich rozwoju. Bo też faktycznie we Włoszech istnieją tylko z wielkim trudem tworzone pozory rozwoju.

Zastanawiając się nad przyczynami tego zjawiska, p. Zahorska zapytuje:

„Kiedy elementy twórczości muszą wejść w skład aktualnej polityki? — i odpowiada, że dzieje się to wówczas — gdy rodzaj programu społeczno-politycznego wymaga niezbędnie zmiany *psychiki mas*... Nowa koncepcja społeczna okazała się niemożliwą do przeprowadzenia bez gruntownego przeorania struktury psychicznej narodu. I w tym momencie twórczość duchowa musiała bezpośrednio zahaczyć o życie i musiała stanąć w służbie nowej ideologji społecznej... Jeśli się to u nas nie stało, najwidoczniej nie zachodziła po temu istotna wewnętrzna potrzeba. Nie pojawił się program społeczny czy też polityczny — tak szeroki i tak nowy, by narzucił konieczność przemiany psychicznej mas ludności. Programy, które się pojawiały i które istnieją dotąd, nie przekraczały najwidoczniej już utartych kategoryj psychicznych. Posuwały się po ubitej ziemi".

Rozumowanie to oczywiście stoi na głowie. W t. zw. Bolszewji nie nowa ideologja musiała wychować sobie nową psychikę mas, lecz wejście do życia nowych mas wytworzyło nową ideologję. Słuszne jest jednak spostrzeżenie — że nowa niepodległa Polska nie przyniosła nic nowego. A stało się to nie dlatego, że nie wymyśliła nowej ideologji, lecz że nie oparła swego istnienia na nowych warstwach, które dla siebie zbudowałyby państwo nowe i nadały temu państwu nową ideologję.

Streśćmy poglądy „Drogi".

---

[1]) O jakie dwie strony życia społecznego idzie — trudno zgadnąć.

Poczucie martwoty i bezcelowości współczesnego życia polskiego. — Tęskne oglądanie się wstecz ku legjonowym uniesieniom młodzieńczym i pragnienie, aby te przeżycia górne i chmurne powtórzyły się raz jeszcze. Wyczekiwanie na jakieś niewiadomo skąd nadejść mające rozkazy, marzenia o jakowemś bóstwie, któremu możnaby się oddać na ofiarę. W poszukiwaniu uniesień religijnych „wymuszanie na sobie różnych wiar" — istny samogwałt religijny. Wobec tego zaś, że zarówno katolicyzm jak inne wiary europejskie już są ostatecznie zdyskredytowane, błąkanie się po wertepach starej religijnej ideologji hinduskiej, która dzięki swej egzotyczności robi wrażenie czegoś nowego. I wreszcie — ponieważ, jak powiada sportowiec p. Fularski, „ideologji nowej, przystosowanej do zmienionych warunków życia politycznego, nie można stworzyć z dnia na dzień, *tymczasem*" — sport.

To — *tymczasem* p. Fularskiego odnosi się właściwie do całej ideologji „Drogi". cała ona jest *tymczasem* — byleby tylko czemś zagadać, byleby czembądź przesłonić palące zagadnienia dnia dzisiejszego.

Wszystko to jednak nie farsa, ani nie głupota zapalonych radykaląt — jak zdaje się A. Nowaczyńskiemu. Marzyciele z „Drogi" muszą być na coś komuś potrzebni, w przeciwnym razie zgołaby nie istnieli jako grupa społeczna.

Ideologja „Drogi" należy do bardzo rozpowszechnionych dzisiaj na zachodzie i starannie przez burżuazję podtrzymywanych poglądów drobnomieszczańskich. Roi się tam dzisiaj od teoryj i teoryjek, propagujących oparcie się na t. zw. psychologji, na uczuciu, na nastrojach, na intuicji, bohaterstwie i t. p. W Niemczech nie brak przedstawicieli tych kierunków zarówno między jawnymi obrońcami burżuazji, jak między socjaldemokratami i socjalkatolikami. Wymienię tylko kilka nazwisk: Max Scheller, A. Pieper, Max Weber, O. Spann, A. Kranold i wielu innych. Wydają oni grube tomy, dowodząc, że nadchodzi nowa nauka, uduchowiona, przeciwstawiająca się ponoć już starej materjalistycznej. Ta nowa nauka zamiast przeszkadzać religji w obezwładnianiu mas pracujących spełnia właściwie tę samą funkcję społeczną, co religja. Jest to unaukowiona religja nowoczesna, zdolna z powodzeniem bronić promieniejących wzniosłym idealizmem zysków kapitalistycznych, przed atakami ze strony zmaterjalizowanego motłochu.

Gdyby spółpracownicy „Drogi" posiadali przygotowanie naukowe profesorów niemieckich i gdyby czytające drobnomieszczaństwo polskie było rynkiem księgarskim, zdolnym do pochłaniania grubych tomów, mielibyśmy to samo zjawisko w nieco większej skali i ze znacznie większym nakładem uczoności. Polskiemu zaściankowi muszą wystarczyć wykrzykniki p. Skwarczyńskiego, operowanie kilku niewyszukanemi frazesami i powoływanie się na Mickiewicza. Na zmianę charakteru zjawiska społecznego zgoła to jednak nie wpływa. Zarówno u nas jak w Niemczech grupy te posiadają te same zadania społeczne.

Sławny przed kilku laty Spengler, przerażony klęską wojenną swej niemieckiej ojczyzny i wzbierającą falą ruchu robotniczego, pisał o upadku Europy zachodniej. Domniemane bankructwo kultury zachodniej, było właściwie burżuazyjnem hasłem bojowem, wezwaniem do obrony dóbr burżuazyjnych przed rewolucyjnym ruchem robotniczym. Nasi neoromantycy i neoreligjanci z „Drogi" z dziwnem upodobaniem piszą o bezideowości Polski i ze śmieszną powagą szukają odpowiedzi na pytanie: *po co właściwie istnieje Polska?*

Ani na chwilę nie przychodzi im na myśl, że zamiast głowić się nad wymyśleniem jakiejś racji bytu dla tej biednej Polski, dużo lepiej by zrobili, gdyby zastanowili się, w jaki sposób ta dzisiejsza burżuazyjno-obszarnicza Rzeczpospolita Polska powstała i czyim interesom faktycznie służy?

Żywo wspominając tak niedawne czasy legjonowe i porównując z niemi dzisiejszą swą pustkę, wołają o jakieś myty i symbole religijne, jakby w czasach walk legjonowych który bądź z nich myślał o mytach i symbolach. Nie myty i symbole uskrzydlały ich wówczas, jeno działające jeszcze w masach złudne nadzieje na tę Polskę, którą ich wysiłki urzeczywistnić miały. Szło przecie z nimi sporo proletarjatu, szła i młodzież chłopska.

Inaczej mówiąc—to co dawało im siły wówczas—to nieuświadomione przez nich samych parcie mas pracujących, to otaczająca ich atmosfera moralna nadziei — zdawało się — nieograniczonych. Z masami pracującemi nie współwalczyli oni nigdy, ale udawało im się wytwarzać wokół siebie złudzenia i to wystarczało do dania im samym pełni zadowolenia moralnego.

Czemuż dzisiaj do tego powrócić nie mogą? Czemu szukają jakichś mytów i boleśnie wymuszają z siebie frazesy quasi-religijne?

Bo te masy, które oni łudzili obietnicami, przekonały się czem jest Polska dzisiejsza. Masy pracujące poznały tę Polskę nie przez rozumowania idealistyczne, lecz przez głód i nędzę, poznały ją przez represje wszelkiego rodzaju, przez więzienia i wyroki. I wokół zakłamanych ideologów legjonowych powstała bolesna dla nich samych pustka, którą daremnie starają się dzisiaj zapełnić paplaniną mistyczną.

Pani Zahorska mówi nieprawdę, gdy wmawia w nas, że nie wie kto był protektorem powstającej Polski obszarniczo-burżuazyjnej i jaką rolę spełnia ta Polska w świecie kapitalistycznym. Zarówno pani Zahorska, jak inni współpracownicy „Drogi" wiedzą bardzo dobrze, na czem polega misja Polski dzisiejszej jako t. zw. przedmurza cywilizacji zachodniej. Jeno „Droga" usiłuje maskować tę wyznaczoną Polsce rolę przez wmawianie w czytelnika, że Polska dzisiejsza, nie przestając być państwem burżuazyjnem, może z żandarma pogranicznego stać się twórczym genjuszem ludzkości—byleby tylko każdy obywatel Polski dostatecznie uidealistycznił, czy umistycznił się.

Teraz możemy odpowiedzieć na pytanie, po co istnieje „Droga" i jej ideologja?

Burżuazja utrzymuje tę grupę w tym samym celu, w którym utrzymywane były i są wszystkie religje: zadaniem ich jest wytwarzanie i narzucanie masom zagadnień złudnych, stawianie zadań nibyto niesłychanie ważnych, nibyto narzucających się jak imperatyw kategoryczny, a w rzeczywistości zgoła niewykonalnych. Wszystko to zaś dla powstrzymania robotniczej myśli krytycznej, dla odwrócenia uwagi od spraw rzeczywiście ważnych, które tymczasem w myśl swych własnych klasowych interesów spokojnie załatwia burżuazja.

Ponieważ zaś podmiotem ideologji „Drogi" jest drobnomieszczaństwo, warstwa niesamoistna, rozdzierana sprzecznościami wewnętrznemi, pod całą tą akcją niema wiary w jej skuteczność. Wszystko to jest tylko na *tymczasem*, jak trafnie wyrwało się p. Fularskiemu.

BÓG MACIEJ

W. IWANOW

Trzeci już tydzień pułk usiłował zdobyć bród przez rzeczułkę Ik. A bród był doskonały. Daleko, nawet w dni pochmurne, połyskiwało żółte, piaszczyste dno rzeczułki. I kiedy się patrzało na ten wesoły połysk — każdy myślał, iż wystarczy przejść bród, a zacznie się lekka, wesoła wojna. Biali luną wzdłuż linij kolejowych, pułk wbiegać będzie co dnia do nowego miasta, a pociągi ze zbożem (jak gdyby zmęczone radością) syte popełzną na Ruś!

Komisarz pułku, Aleksander Piotrowicz Denisiuk, był spokojnym człowiekiem czynu. Martwiły go niepowodzenia pod brodem. I prócz tego sprawiało mu sporo zmartwienia, że, wobec wzrastającego ustawicznie pośpiechu, w żaden sposób nie udawało mu się zaprezentować sprawionych na święto, z wielkim trudem i wielką oszczędnością — wspaniałych galifé i frencza koloru sparciałej słomy. Zaledwie wypadło święto — a już kazano atakować, w ciągu zaś tych trzech tygodni, jak na złość, nie było ani jednego święta rewolucyjnego, a paradować w nowem ubraniu podczas świąt kościelnych Denisiuk się brzydził. Wieś Talica, w której kwaterował sztab pułku, kilkakrotnie przechodziła z rąk białych do czerwonych. Chłopów wyczerpała wojna, nie było więc w tem nic dziwnego, gdy któregoś dnia zameldowano Denisiukowi: na linji czołowej zjawił się z Talicy mieszkaniec jej, Maciej Kostiukow, tytułujący się bogiem Maciejem i oznajmił: „kule go się nie imają i nakazuje natychmiast zaprzestać wojowania!" Denisiuk mało wierzył w pracę kulturalno-oświatową, gdy jednak zjawiło się tak żywe wcielenie przesądów — rzekł z zadowoleniem: „Ano, wymawiają nam, że nie prowadzimy ponoć roboty kulturalnej. A my im teraz taki referacik kropniemy, że ha!..." — i kazał przyprowadzić boga. Bóg Maciej okazał się chłopkiem niewielkiego wzrostu, o głowę niższym od Denisiuka. Miał na sobie czystą, płócienną koszulę po kolana. Twarz miał bladą, wniebowziętą; maleńka, do góry zadarta bródka lśniła wysmarowana olejem lampkowym, lśniły również i kąciki długich warg. Denisiuk lubił ludzi zadowolonych, sam był zadowolony z wielu rzeczy — z tego, że pułk posuwa się z powodzeniem naprzód, z odwagi żołnierzy i własnej, a Denisiuk był rzeczywiście odważny, i to odważny plakatowo jakoś, na wesoło; (biegł naprzykład na czele pułku i wrzeszczał: „zginiemy za rewolucję", robił przytem jakiś gest nieprzyzwoity w kierunku białych — i to cieszyło dlaczegoś żołnierzy i wzruszało ich do łez) — przedstawiono go do orderu, w gazetach pisano o nim kilkakrotnie — wycinał starannie te korespondencje, naklejał je na papierek i wysyłał matce, do domu. Bóg Maciej podobał mu się, chociaż Denisiuka drażniła nieco jawna pobłażliwość Macieja. Między nimi miała miejsce mniej więcej taka rozmowa:

— Czy istotnie uważasz się za boga?

Denisiuk poczuł natychmiast, że pytanie wypadło głupio, zaś Maciej, zdaje się, to zrozumiał, bo odrzekł z większą niż przedtem pobłażliwością:

— A przecie, jestem bogiem — we własnej osobie. Przyszedłem wam powiedzieć, że wojować nie trza, głupie to, a żyć należy w pokoju i radości. Ot i mnie bez to kula się nie ima. Kazałem jej mnie się nie imać!

I znów spojrzał na Denisiuka w taki sposób, iż ten poczuł w sobie wewnętrzne jakieś zmieszanie — i znów zabłysły pobłażliwie kąciki długich warg Macieja. A Denisiuk, zdając sobie sprawę, że mówić nie należy, palnął jednak drugie głupstwo:

— A ja, rozumiesz, wezmę i wyślę cię na pierwszą linję!

Wypadło to już zupełnie ni w pięć ni w dziewięć, bo bóg Maciej aż się na stronę odwrócił, jak gdyby wstyd mu było powiedzieć: „A toć byłem przecie na pierwszej linji, pocóż mnie tamuj odsyłać?" I poszedł sobie, jeszcze bardziej promieniejąc brodą, twarzą, wargami, — żołnierze, uśmiechając się żałośnie i trwożnie, przepuścili go. Denisiuk pomyślał sobie, że właśnie czas powiedzieć coś pouczającego, w rodzaju — ot, przesądy i ciemnota, jak ten próg, wszystkim pod nogi spozierają. Tyrada wypadła przydługo, nieprzekonywująco.

Sztab dywizji nadesłał pilną depeszę — wzywano go. Zapomniał o bogu Macieju, a jednak lekki niepokój tłukł się gdzieś po wnętrzu Denisiuka, i dlatego na posiedzeniu dowodził, z niezwykłą u niego zapalczywością, konieczności natychmiastowego przejścia do ataku. Propozycję jego odrzucono. Sztab był w posiadaniu dokładnych wiadomości, że biali szykują się przejść przez rzeczułkę Ik, do brodu ściągnięto znaczne siły. Tego rodzaju doniesienia dawniej zawsze dodawały mu animuszu — bardzo już bowiem ufał swemu szczęściu. Teraz jednak wrócił do pułku w tym samym stanie trwożnego podniecenia. Z jakąś wrogością względem siebie samego wysłuchał doniesienia politruka *). Politruk, tow. Połtawskij, krępy, ospowaty człowiek o zaostrzonych i wysoko postawionych uszach, często mawiał o sobie: „Ja — jak ta pijawka: krew piję, ale i życie daję. Dla pomyślności rewolucji najważniejszą rzeczą jest — wyzbyć się miłosierdzia". — Teraz też powtórzył to przysłowie i dodał, że na pozycjach czołowych żołnierze są zmieszani: przed okopami kilkakrotnie przechadzał się bez szwanku bóg Maciej. Politruk lubił Denisiuka i mówić mu o tem, widocznie, było przykro, lecz zarazem miło mu było pokazać, że jest bezlitosny. Rozmowa toczyła się w chacie chłopskiej. Denisiuk dostrzegł nagle, że wszystkie chaty, które widział w ciągu ostatnich miesięcy, wewnętrznym sprzętem swoim dziwnie jakoś podobne są jedna do drugiej: chłopi chowają wszystko zbędne, pozostałe zaś sprzęty nieodzowne we wszystkich chatach są te same. Gospodarz chałupy, jak widać, musiał być bardzo pobożny — na ołtarzyku w kącie zostawił obrazek w srebrnej kapie. A i gospodarz sam słuchał ich rozmowy z jakiemiś podejrzanie spokojnemi oczyma. Denisiukowi sprawiało przykrość widzieć to wszystko i rozumieć, lecz zarazem zdawał sobie sprawę, że i tak nic nie wymyśli i że długo jeszcze będą lazły mu do głowy niepotrzebne myśli o chatach chłopskich, o obrazkach, o gospodarzach. Pojechał więc na pierwszą linję. Okopy wykopano naprędce, w gruncie piaszczystym, lecz zdążyły już nasiąknąć zapachem barłogu ludzkiego, parciankami, wszędzie walały się niedopałki kręconych papierosów i tylko niepomierna grubość tych niedopałków przypominała o wojnie. Bóg Maciej siedział w okopie na pustej i bardzo brudnej beczułce od śledzi. Z apetytem zajadał olbrzymią pajdę razowego chleba, maczając go w czajniku z herbatą. „Garczekbyście mu dali" — niewiadomo poco rzekł Denisiuk. Żołnierz, przyglądający się jedzeniu boga, odrzekł w zakłopotaniu i zarazem z poważaniem: „Daliśmy mu garczek, a jakże, ale on

*) Kierownik polityczny.

w zapomnieniu wyszedł na ten swój obchód, ano to mu kulą rozbili garczek". — Koszula na bogu Macieju była już brudna i pomięta, drażniły zwłaszcza przylepione do koszuli łuski śledziowe. I wydało się Denisiukowi, że żołnierze patrzą teraz na boga nie z dawną przychylną dobrodusznością, do której był już przywykł, lecz że dobroduszność ich stała się teraz wymuszona jakaś, umyślna. Oto stłoczyli się naraz i zaczęli prosić o tytoń, chociaż tytoń wydano im zaledwie wczoraj — i to również go niepokoiło. Dzień był jasny. Za rzeczułką nad okopami białych leciała wrona i widać było wyraźnie, że gdy wrona machała skrzydłami (z pewnem znużeniem a może w poczuciu szczęścia) od skrzydła oddzieliło się kilka piór i wkrótce jedno pióro wypadło i, kręcąc się spiralą, powoli i ciepło jakoś padało na ziemię. Zadygotał i zgasł karabin maszynowy. Bóg Maciej dojadł chleb, zebrał do podołka okruszyny, chciał je do ust włożyć, lecz wyrzucił za okop — „niechaj i ptactwo poje..." — rzekł kłamliwym, jak widać, obcym mu tenorkiem, a potem dodał już rzeczowo: „Tyś nie widział, ja ci pokażę, Aliksander Pietrowicz. Wojować nie trza, Aliksander Pietrowicz!" — Obciągnął koszulę, poprawił pasa, podsunął beczułkę i, postękując jakoś osobliwie, wylazł z okopu. Biali natychmiast dali ognia. Bóg Maciej, drobniutkim kroczkiem, nieustannie wycierając usta ręką i przekornie, boczkiem, spoglądając na Denisiuka, przeszedł się dwa razy wzdłuż okopów, postał, pomyślał, uśmiechnął się chytrze i mgliście i, zerwawszy żółty, nieprzyjemnie pachnący kwiatuszek, wrócił do okopu. Kwiatuszek podał komisarzowi. Denisiuka uderzyło nie to, że bóg Maciej wrócił bez szwanku, lecz to, że czerwonoarmiści nie odpowiadali na wystrzały i że on, komisarz Denisiuk, nie rozkazał im dać ognia. Należało wzruszyć ramionami i odejść, uprowadzić z sobą tego pomylonego głuptasa, manjaka, lecz Denisiuk zrozumiał, że postąpić tak nie można: żołnierze spoglądali na boga Macieja żałośnie, surowo i zarazem z jakimś zachwytem. I wychodziło na to, jakby w konia łaciastego, nie szyto, nie krojono, a klin wstawiono. I dreszczem opaliła go myśl: „ucieknę" (strach go nachodził, jak i większość ludzi, po dokonanej już okropności) — obecnie żadnej okropności nie było, niemniej jednak strach go ogarnął. Zgrubsza i pokrótce mówiąc, miał takie poczucie, jak gdyby żołnierze już biegli, biegli po nim, po jego szczęściu, po zasługach jego wobec rewolucji i siebie samego... Więc zaczepnie, jak pędrak, krzyknął:

— A ja ci mówię, że cię kropną!

Bóg Maciej nawet nogą przytupnął i tak samo zaczepnie, troszeczkę może wyższym tonem, wykrzyknął:

— A ja ci mówię, że nie kropną! Jestem bogiem czy nie?

I zwrócił się do żołnierzy. Czerwonoarmiści milczeli. Bóg wgramolił się na beczułkę, znów postękując jakoś osobliwie. Niepotrzebna i głupia myśl o robocie kulturalno-oświatowej znów przyszła do głowy Denisiukowi. Ale na rozmyślania nie było czasu, trzeba było się śpieszyć, rzekł więc surowo:

— Już ja ci urządzę sztuczkę poglądową.

— Czego? — odwracając się wesoło spytał bóg Maciej.

— Próbę — twardo i ostro odciął komisarz.

Wówczas bóg Maciej odrazu przygasł. Usadowił się ponownie na beczułce, przemówił pouczająco: „My z tobą — niczem niebo i ziemia: dwa buhaje się bodą, a zejść się nie mogą... a jednak ja z tobą będę rozmawiać". I powolną, rzeczową, chłopską gwarą począł opowiadać komisarzowi, jak

myśli urządzić próbę. Wybrał pole, powiadając, że topola tam stoi pośrodku, do wiatru podobna. Porównanie nie podobało się Denisiukowi, odrzekł — że takiego pola jakoś nie widział. Wówczas bóg Maciej dodał, że pod topolą doskonale będzie pouczać i opowiadać przypowieści. Ma on nawet taką jedną przypowieść... Komisarz przynaglał go, więc bóg mrugnął nań porozumiewawczo: potem, rozumiesz, opowiem ci... Gwarzył bóg spokojnie i pewnie, i wkrótce Denisiuk, jeśli nie we wszystkiem, to jednak prawie zupełnie zaufał swej myśli, że bóg Maciej przed samą próbą stchórzy i wycofa się. Denisiuk znów odzyskał dobry humor, poklepał się po futerale kolta, szedł okopami i życie znów wydało mu się proste i wesołe. Próbę wyznaczono nazajutrz o zachodzie słońca. Politruk, tow. Połtawskij, wstąpił wieczorem do chaty, podreptał, gadał coś o jakimś śmiesznym liście, i w zakłopotaniu dorzucił, że obrazu w srebrnej kapie gospodarz jednak nie schował. „Zapomniał pewnie", — rzekł, podchodząc do pieca i opierając się o niego tak, jak gdyby mu było zimno... Szybko wyszedł, nie dopowiedziawszy swych myśli, chociaż wątpliwe, by miał coś istotnego do powiedzenia — wówczas bowiem właściwa mu wiara w swą nielitościwość pomogłaby mu zapewne. Denisiuk zasnął prędko.

Dzień wypadł ciepły, suchy. Gdy Denisiuk przechodził pod drzewami, na ręce i ramiona padały mu liście jesienne — gorące, chrzęszczące, pachnące dziwnie: czadem. Olbrzymie pole tchnęło nań ciepłem. Topola pośrodku pola istotnie przypominała czemś wiatr. W oddali za dźwięczną, starczego koloru trawą widać było drgający purpurą lasek jesionowy. Żołnierze byli trwożnie podnieceni, oczy mieli obrzmiałe, pewno źle spali. Obok nich w stronę lasku jesionowego na nieosiodłanym koniu przejechał bóg Maciej. Za dnia wydano mu ćwierć funta mydła, przyniósł sobie z rzeczułki, pod ogniem, dwa wiadra wody — i wyprał koszulę. Koszula wyschła, zgrabiała nieco — fałdy i teraz jeszcze sterczały wyraźnie po bokach. Konia wybrał siwego. Wymył go również. Zatrzymał się na chwilę i, nie patrząc na żołnierzy, krzyknął im w jakimś wesołym zachwycie, by strzelili, jak tylko słońce zacznie się zniżać... Żołnierze milcząc potrzyli trwożnie na ostre jego łopatki, poruszające się pod schludną koszulą. Koń ruszył kłusa. Denisiuk spojrzał na niebo: słońce opuszczało się za barki żołnierzy, bogowi Maciejowi więc świecić będzie prosto w twarz. Denisiuk dał rozkaz załadować karabiny pustemi nabojami. Na chwilę żołnierze uśmiechnęli się, lecz zaraz potem zapomnieli widocznie o pustych nabojach i, mocno ściskając karabiny, trwożnie i ze znużeniem w oczach patrzyli na lasek jesionowy. Z lasku doleciał śpiew psalmu. Ani komisarz, ani żołnierze nie rozróżniali słów, a słowa były takie:

Maluczko, a nie stanie księcia ciemności
Spojrzysz na miejsce jego —
I już go niema
A pokorni odziedziczą ziemię
I napoją serca swe ogromem pokoju...

Bóg Maciej przyzwyczaił się śpiewać psalmy. Śpiewał i myślał zarazem, że oto pieśń, jak cebula — bez bólu, bez smutku, a wyciska łzy. A komisarz Denisiuk czekał aż słońce zajdzie, stał o trzy kroki od wstrząsanych dreszczem wewnętrznym żołnierzy — i myślał mglisto, że ten oto, tuż obok niego stojący, rumiany i kędzierzawy (Pietrow, zdaje się, z nazwiska) — jeżeli nie trafi w boga, spokojnie i szybko zarazem, a to zawsze wydaje się

czemś niespodziewanem, — skieruje w stronę komisarza karabin i wepchnie mu pod płuca bagnet. Śpiew wzmagał się. Głowa końska wychynęła z lasku. Powoli, na siwym koniu (purpurowa aureola płonęła nad jego głową) ukazał się bóg Maciej. Aureola ślepiła oczy. „Co za bzdura!" — pomyślał ze wstydem i złością Denisiuk. I krzyknął, patrząc w ziemię — „ognia!" — podczas gdy strzały padły znacznie wcześniej niż jego rozkaz. Żołnierze strzelili bezładnie. Koń, nawykły do strzałów, spokojnie usiłował skubnąć trawy — dlatego ręce boga Macieja wyciągnięte były w naprężeniu, śpiew mu się urywał i bóg czuł się urażony, bo myślał, że żołnierze wezmą to na karb jego tchórzliwości. Śpiewał więc, ale głosu mu nie starczało.

Aureola wciąż mocniej i mocniej biła w oczy. I wówczas Denisiuk chwycił karabin. Pośpiesznie załadował go ostremi, odrazu zmokłemi w ręku, nabojami. Bóg posuwał się bezustannie naprzód. Puste naboje wyczerpały się. Żołnierze z tym samym wyrazem twarzy bili ostremi: widoczne było, że odrazu nie uwierzyli, by im dano puste. Najbardziej śpieszył się rumiany Pietrow! Wystrzały wyrównywały się i wkrótce przeszły w salwy — i kiedy trzy takie salwy padły jedna po drugiej, oddzielone równemi przerwami — Denisiuk odrzucił karabin, spojrzał na twarze — i odwrócił się. Ręce mu drżały i nie trafiały do kieszeni frencza, twarz całą miał mokrą. Salwy ucichły. Komisarz spojrzał. Na ziemi, rozpaczliwie rzucając głową, koń zdychał w przedśmiertnych drgawkach. Żołnierze pobiegli, lecz bóg Maciej podniósł się z ziemi. I żołnierze na chwilę przystanęli. Równy obłoczek dymu buchnął nad nimi. Znów pobiegli. Bóg upadł. Szybko—niewiadomo dlaczego poprawiając rewolwer — komisarz pobiegł do boga Macieja. Ramię jego było mokre i amarantowe. Uśmiechając się z zadowoleniem i błogością, bóg próbował unieść rękę — i nie mógł. Na czole cienkiemi wstążeczkami przywiązany miał kawałek lusterka. Spostrzegł komisarza, uśmiechnął się z większem jeszcze zadowoleniem i rzekł powoli: „No i cóż, chłopcze, mówiłem ci — mnie sprzątnąć nie można! Kto mnie sprzątnie? Jestem bogiem — czy nie?..." I wówczas Denisiuk (zdając sobie sprawę, że tak postępować nie można, lecz że on inaczej postąpić nie może) pośpiesznie wsunął rękę do futerału rewolweru i to, że futerał był niezapięty, niewiadomo dlaczego dodało mu otuchy, może dlatego, że wszystko to zawczasu gdzieś głęboko wewnątrz było już postanowione—pośpiesznie wyrwał Colta i jedną po drugiej wpakował w boga trzy kule. Obejrzał się—żołnierze bezdźwięcznie, nie wiedząc o tem widocznie—śmiali się. I sam Denisiuk, nie wiedząc czemu, roześmiał się. Obejrzał się na trupa i wsadził mu jeszcze jedną kulę. I wówczas wszyscy nagle spoważniali. Rumiany i kędzierzawy Pietrow okazał się najroztropniejszy. Pobiegł po łopaty. Boga Macieja pochowano pod topolą; mogiłę wykopano płytką, bo Denisiuk naglił; mówił, że zbiera się na burzę — i rzeczywiście powietrze było suche, nie można było włosów przygładzić — tak trzeszczały trwożnie: — będzie burza napewno! I podczas kolacji naglił i, nie dojadłszy kolacji, zerwał się — dyspozycji takiej wcale nie było. Lecz Denisiuk kazał iść do ataku, jakgdyby się bał, że szczęście go opuści. Pułk zamruczał potakująco; zamigotały w rękach karabiny — i szczęście naprawdę nie zdradziło Denisiuka: nad ranem bród zdobyto, biali cofnęli się, porzucając tabory i armaty — a sam komisarz pułku, Aleksander Pietrowicz Denisiuk, zginął jak przystało na bohatera— na czele wszystkich! Przebaczono mu samowolę; chowano go z paradą, nakrytego sztandarami niesiono przez lasek jesionowy, a potem po dźwięcznej, starczego koloru trawie, pod topolę, która istotnie była podobna do wiatru.

Burzy jednak nie było i jak przedtem trwała wielka susza. Politruk Połtawskij miał długą mowę, wytarł łzy — i wielu wytarło łzy. Olbrzymi tłum otoczył topolę i nikt nie zauważył, że mogiłkę boga Macieja zupełnie zrównano z ziemią nogami (a zresztą piasek szybko schnie, rozsypuje się). Nasyp boga Macieja zniknął. A na nasyp komisarza Denisiuka, który może o głowę tylko był wyższy od zczezłego nasypu boga Macieja — pułk długo się zastanawiał: co położyć godnego, a ponieważ dnia tego strącono samolot białych, więc w nasyp wkopano śmigło samolotu, ołówkiem chemicznym wypisano tłusto: — „zginął śmiercią walecznych" — i pułk ruszył dalej. Dnia tego było wielkie święto rewolucyjne i komisarz Denisiuk dumnie i prosto leżał w swej mogile, ubrany w nowy frencz i galifé wesołego koloru sparciałej słomy.

Przełożył W. W.

KINO

CAR IWAN GROŹNY

Wśród filmów historycznych, których tak wiele produkują wytwórnie niemieckie i amerykańskie „Car Iwan Groźny" stanowi unikat. Filmy takie bywają naogół robione raczej kostjumowo, z dużym naciskiem na rekwizyty, „odzwierciadlające" daną epokę, ale z zupełnem wypaczeniem jej ducha. Epoka wychodzi najczęściej mizernie—bywa zawsze cokolwiek wylizana w sensie pewnej wulgarnej, operowej idealizacji, właściwej tak zwanym powieściom historycznym. Wulgaryzacja polega przedewszystkiem na wysunięciu na pierwszy plan cynika intrygi osobistej, powiązanej z wątpliwą historycznością przedstawianych wypadków. Historyczność kina w najlepszym razie bywa taka, jak historyczność powieści Dumasa ojca i Sienkiewicza.

Sprawy te zresztą związane są ściśle z tendencjami wychowawczemi dzisiejszego ustroju. Widz, czytelnik dzisiejszy, z historją zapoznaje się w szkole, gdzie mu ją dają w sposób niezmiernie wulgarny, wykrzywiający i zaciemniający tendencyjnie wypadki dziejowe, z wysunięciem na pierwszy plan roli czynnika personalnego. Widz ów, czytelnik przyzwyczaja się traktować dzieje swego czy cudzego kraju, jako mniej lub więcej frapującą kronikę kryminalną, gdzie bohaterowie i wogóle ludzie cnotliwi walczą z łotrami i szalbierzami, wygrywają lub przegrywają. Wytwarza to z gruntu fałszywy stosunek do historji samej, niezdolność zrozumienia i odczucia jej powagi, tego, że powaga ta może być niemniej interesująca od najsprytniej obmyślanej intrygi. A scenarjusze filmów historycznych podobnie jak powieść historyczna przez swą fabułę dopuszczającą w szerokim zakresie nonsensy logiczne i psychologiczne — zbliżają się najbardziej do współczesnego romansu brukowego.

Jako typowe filmy historyczne wysokiej klasy, można wskazać np. „Dwie sieroty" Griffith'a i niemiecki film „Lucrezia Borgia". Zwłaszcza pierwszy z nich stanowi swego rodzaju arcydzieło ogromnie chwalone i naśladowane. Otóż „Dwie sieroty" posiadają bardzo wiele ładnych, efektownych, miejscami fascynujących, scen o wysokiej wartości„ estetycz-

nej", ileż w tem wszystkiem jednak głupoty i wulgarności historycznej! Aby rozszerzyć fabułę' uczynić ją bardziej efektowną i zajmującą Griffith niemiłosiernie obniża i wulgaryzuje przedstawienie epoki. Z działaczy historycznych jak Danton, Robespierre robi błaznów i śpiewaków opero wych. Wylewa całe jeziora głupstwa, aby móc na nie puścić stateczki estetycznych lub wstrząsających scen (Danton pędzący na czele wiernego oddziału kawalerji, aby wyciągnąć z pod tasaka gilotyny miłą dziewuszkę i t. p.). Ażeby tem pewniej wzruszyć serca tkliwych sklepikarek i przekonanych czytelników romansu brukowego, Griffith nie waha się przed popełnieniem żadnego nonsensu. Podobne traktowanie materjału historycznego przejawiają filmy niemieckie, gdzie w dodatku jak np. we wspomnianej „Lucrezii Borgia", wszystkie nonsensy i idjotyzmy, dla większej autentyczności, z rozpaczliwą niemiecką dokładnością opatruje się datami.

Nic podobnego niema w „Carze Iwanie Groźnym". Scenarjusz rozumny, sensacyjność intrygi nie wchodzi w paradę materjałowi historycznemu. Nadaje to całemu filmowi wielką jednolitość koncepcji. Przy całej akcesoryjności, przy obfitości „autentycznych" rekwizytów, film jest realistyczny. Czasy Iwana Groźnego to właściwie pełnia rosyjskiego średniowiecza. Nigdy jeszcze w żadnym filmie, nie zostały wydobyte i oddane z taką potęgą i realizmem najistotniejsze cechy średniowiecza — naturalnie nie tego średniowiecza, które spopularyzowała literatura romantyczna i które przeniknęło i utrwaliło się w świadomości przeciętnego europejskiego inteligenta. Całe ubóstwo, ciasnota życia średniowiecznego, brak warunków, które dziś uważane są za elementarną konieczność życiową — a co przecież łączy się ściśle ze światopoglądem — wydobyte i oddane zostało w „Carze Iwanie" z bezkonkurencyjną ścisłością. Weźmy np. realistyczne traktowanie życia dworskiego oraz „przepychu", właściwego tym monarchom, którzy posiadając wiele krajów i prowincji, obywali się bez koszuli na grzbiecie, albo jak car Iwan jadali drewnianemi łyżkami i pijali z drewnianych rynienek. Cała ta masa szczegółów obyczajowych, bytowych ani na chwilę nie wysuwa się na plan pierwszy, nie przytłacza akcji, podobnie jak nie przytłaczają jej aktorzy.

Rosja Sowiecka nie posiada „gwiazd" kinowych w stylu amerykańskim, lub niemieckim. Najlepsze filmy rosyjskie są robione albo bez aktorów, jak „Pancernik Potiomkin" albo też z aktorami teatralnymi, jak „Car Iwan Groźny". Ale też kino sowieckie nie jest terenem dla popisywania się solistów, pozbawione jest operowości, jaką nieuchronnie wprowadza panowanie gwiazd. Pozostaje to w zgodzie z ogólnemi tendencjami społecznemi, i wysunięciem na pierwszy plan działania w ramach kolektywu. Powstaje stąd nowa zupełnie filozofja życiowa, nowy stosunek do zjawisk, inny sposób patrzenia na życie.

Należy to zaakcentować tembardziej, że ludzie przywykli do fryzjerskiego idealizowania, do dobrych zakończeń amerykańskiego kina, uważają „Cara Iwana Groźnego" za film ponury, przygniatający, bez perspektyw. Ale trzeba tylko na sprawę spojrzeć inaczej nie z punktu widzenia snoba ignorującego walkę wielkich sił społecznych i domagającego się choćby w imaginacji spokoju, siesty, choćby fałszywych błogostanów, za wszelką cenę — a wtedy przejawi się potężny optymizm filmu. Optymizm ten idzie przedewszystkiem od pewnej siebie, zuchwałej energji chłopa wynalazcy od jego bezwzględnego oddania się, podporządkowania

nurtującej go idei wynalazku. Że idąc za tą myślą nie może dojść do celu, nie może zwyciężyć — to jest tragizm, ale tragizm wyższego nie jednostkowego porządku. Nikita zostaje zgnieciony przez ślepą siłę teologicznego poglądu na świat, przez tyraństwo uważające każdą wielką próbę opanowania przyrody, wzmożenia sił ludzkich — za powstałą z djabelskiego poduszczenia. Była to ta sama moc, która gniotła Rogera Bacona i która zgubiła tylu innych. Dlatego też w zgubie domorosłego lotnika z czasów Iwana nie ma nic przypadkowego — owszem zguba owa podkreśla z niemiłosierną dokładnością walkę wielkich sił historycznych, wobec których blednie najbardziej nawet reprezentatywnej jednostki. Nie ulega np. wątpliwości, że gdyby Nikita ocalał (jakby to niezawodnie zrobiono w filmie amerykańskim), to jednak los tych wartości które on reprezentuje nie zmieni się na lepsze. Dla człowieka, który przywykł patrzeć na życie, z punktu widzenia jednostki „dobre" zakończenie anegdoty jest wszystkiem, pozwala ono odpocząć myśli, nie zajmować się problemami życia. Ale zupełnie inaczej działać muszą te rzeczy na widza wdrożonego do myślenia w ramach kolektywu.

W „Carze Iwanie" historja nie jest traktowana jako przedmiot kontemplacji, czy zachwytów estetycznych, oderwanych od dnia dzisiejszego. Tutaj historja wciągnięta została w konflikt. Zakończenie dramatu nie kończy sprawy, ale stanowić może raczej pewien punkt wyjścia, otwiera perspektywy na zagadnienia—wyrażając się starą terminologją—wieczne; to właśnie co stanowi o wielkości dawnych tragików. Z zakamarków średniowiecza, z niewoli, zagłuszenia, poniewierki człowieka, czego terenem była dotychczasowa historja ludzkości — film o carze Iwanie uderza w dzień dzisiejszy, uderza w przyszłość. To jest jedyny sposób przystąpienia do tych rzeczy odpowiadający proletarjackiemu widzowi i jedynie godny nowoczesnego człowieka. I to jest właśnie jedyny możliwy, twórczy optymizm dnia dzisiejszego.

Po zobaczeniu „Cara Iwana Groźnego" dziecinne wydaje się narzekanie na brak dramatu, na brak literatury dramatycznej. Niezawodnie w filmie tym są pewne usterki, pewne drobne przeteatralizowania. Jeżeli jednak takie rzeczy mogą powstawać dzisiaj to fakt ten stanowi najlepszą odpowiedź na takie zarzuty. To jest ta sztuka, która naprawdę, jak się mówiło kiedyś, — wyzwala.

s.

KSIĄŻKI

FRONT CZY PARADA?

Fronta. mezinarod i sbornik soudobé aktivity. redakce: fr. halas, wl. prousa zd. rossmann, b. václavek.

Front. recueil international de l'activité contemporaine, arts — lettres — sciences — sociologie — technique — vie moderne. edition fronta, brno 15, vaskowa 11. 1927.

Nadesłany redakcji „Dźwigni" almanach międzynarodowy *„fronta"* wydany jest luksusowo, na kredowym papierze, formatu dużej czwórki.

Dwieście z górą stronic tekstu, przeważnie czeskiego, zaopatrzonego jednak w krótkie resumé artykułów w językach niemieckim i francuskim — świetne klisze, w tekście i na specjalnych 48 stronicach — krój czcionek, racjonalne łamanie kolumn — cały ten przepych nowoczesnego almanachu, zredagowany w duchu prawie socjalistycznym, z nastawieniem na aktywizm, może zaimponować czytelnikowi polskiemu. Wysoka cena almanachu (około 37 zł.), w którym grupa awangardy artystycznej czeskiej — t. zw. dewětsil (Teige, Nerwal, Freika, Seifert, Hoffmeister, Housl, Prousa i in.)— dokonywuje rewji sił artystycznych „młodej" Europy, czyni go niedostępnym dla szerszego ogółu czytelników, niezależnie od niepopularności języka czeskiego. Almanach *„fronta"* obliczony jest widocznie na odbiorcę mieszczańskiego. Na specyficzną kategorję „postępowego" czytelnika zachodnio-europejskiego, sympatyzującego z kierunkiem społecznym, mniej więcej socjalistycznym, w sztuce nowoczesnej. Daje się to odczuwać w szeroko stosowanej tolerancji komitetu redakcyjnego, który puszcza na linję „frontu" awangardy bez zastrzeżeń dekadentów burżuazyjnych, jak J. Cocteau i pomylonych na da-da „Kleinbürgerów" w rodzaju K. Solwitzersa — a zarazem nowoczesnych konstruktorów „czystych" (fotogramista Moholy-Nagy i inni pracownicy darmstadtskiego „Bauchaus'u" M. Szczuka, konstruktorów-markistów (Eisenstein—w filmie, Tynjanow—w literaturze i lingwistyce, Korniłow — w psychologji). Wyciąg z pism Marksa lub nawet Lenina sąsiaduje z głupawym wierszykiem „formistycznym" — „paris de mai" — jakiegoś Pierre Albert-Birot'a..., albo z obrazczyną o banalnym temacie „kawiarni"... Jak piłat w credo — wpadł do „Fronty" sonet Rimbaud'a. Artykuł o „prognozie kulturalnej" pisarza-komunisty Fr. Junga — a tuż obok „Rozpustna ryba" — Andrè Bretona. I tak ciągle — zarówno w dziale plastyki, jak i literatury, praktyki i teorji. Georg Grosz zdaje się mieć rację, gdy w artykuliku swym: „Sztuka w niebezpieczeństwie!" stwierdza: „artysta dzisiejszy może wybierać tylko pomiędzy techniką a walką klas". Redakcja *„fronty"* — i to jest typowe dla wszystkich niemal rewolucyjnych artystów zachodu, sympatyzujących z proletarjatem — zdaje się skłaniać zdecydowanie ku „technice", ku uznaniu samowystarczalności „rewolucyjnej" czysto-formalnych poszukiwań w sztuce bez uwzględnienia potrzeb nowego odbiorcy. Kryje się za tem nieprzyzwyciężony jeszcze przez artystów mieszczańskich *tabutyzm*. Kapłański, „natchniony", „z bożej łaski", stosunek do sztuki i jej niezwykłych — mesjanistycznych niemal — zadań w procesie kulturotwórczym tkwi mocno i niezachwianie w świadomości większej części artystów, zgrupowanych w almanachu. Przebija to wyraźnie np. w artykule Willy Baumeistra „Duch zawsze rusza z posad góry". Dopuszczenie tego rodzaju „duchownych" na linję „frontu" awangardy, hołdującej w zasadzie materjalizmowi i naukowemu ujmowaniu zjawisk — przemawia raczej za tem, że almanach *„fronta"* nie mobilizuje jeszcze gotowych do walki artystów-rewolucjonistów, lecz raczej urządza *wielką paradę* rebeljantów artystycznych, szukających w romantycznem „nienasyceniu formą" punktu oparcia i zastosowania częściowo produkcyjnych, częściowo zaś zupełnie już wyjałowionych sił kulturalno-twórczych, których cofająca się w swym rozwoju burżuazja zachodnio-europejska wyeksploatować nie potrafi i nie może. Do „frontu" rewolucyjnego stąd jeszcze daleko. „Front" uformuje się później — zależnie od dalszego przebiegu walki klasowej. A wówczas wielu z łazików

i sanitarów artystycznych, pętających się na paradzie „nowej sztuki" — opuści linję bojową i ukryje się w kapliczkach „czystego natchnienia".

W każdym bądź razie, ukazanie się almanachu „*fronta*", w którym dano głos wolny zwolennikom i przeciwnikom wojującej sztuki społecznej, jeszcze nie opierającej się na odbiorcy proletarjackim, lecz dążącej do socjalizmu — jest bardzo symptomatyczne. I nie napróżno jeden z redaktorów — B. Vàclavek — kończy zamykające almanach posłowie takiem zdaniem: „Jeder kommunistisch gesinnte mensch musz die relativierung der bedentung der kunst und die perspektive zu ihrer liquidation anerkennen".

Witold Wandurski

HENRYK CUNOW. *Pochodzenie religji i wiary w Boga.* Przełożył z niemieckiego Z. Mierzyński, wstępem zaopatrzył Jan Hempel. Warszawa 1927. Nakładem księgarni „Książka". Str. XXXVIII t. 205.

Dzieło Cunowa, przyswojone polskiemu piśmiennictwu religijnemu, jest zwycięską próbą zastosowania metody marxistowskiej do badania zjawisk religijnych. Próba ta przeprowadzona być mogła pomyślnie tylko na solidnym fundamencie rozległych badań etnograficznych nad ludami pierwotnemi, natomiast nie miała widoków powodzenia w tych czasach, kiedy antropologja i etnologja stawiały dopiero pierwsze kroki. Jak dalecy od dogmatyzmu byli twórcy materjalistycznego pojmowania dziejów, — świadczy fakt, że, rozporządzając, narazie materjałem, opracowanym przez wielkiego językoznawcę Maxa Müllera, przypuścili — powiada Cunow — „że kult natury jest pierwszym szczeblem w procesie rozwoju dziejów religji", i odpowiednio do tego przystosowali swoją metodę, „głosząc, że dopiero na względnie wysokim szczeblu rozwoju ideologja religijna ulega wpływowi stosunków gospodarczych". (str. 15).

Obfite materjały spostrzeżeń etnologicznych, nagromadzone przez naukowo wyćwiczonych obserwatorów, przeciwstawione teorji kultu przyrody i opracowane przez Tylora, H. Spencera, Langa, Lipperta oraz przez nowszych badaczy, w tej liczbie samego Cunowa, który napisał cenną pracę źródłową „O prawie macierzyńskiem u plemion australijskich", — pozwalają autorowi „Pochodzenia religji, wnioskować z całą pewnością, że „ideologję religijną określa zarówno otoczenie i zjawiska przyrodnicze, jak i środowiska i życie społeczne; wrażenia jednak wywoływane przez naturę zależą w znacznej mierze od tego, *w jaki sposób człowiek zdołał wyzyskać siły przyrody do swych celów produkcyjnych*" (podkreślenie nasze). — „Ostatecznie więc materjał uzyskany z wrażeń, wywoływanych przez naturę, stanowi jedynie zewnętrzne jakby otynkowanie, koloryt miejscowy dla budowy myśli religijnej." (20—21).

Inna rzecz, że sam Cunow popełnia rażące niekonsekwencje, twierdząc np., że „wszystkie ludy pierwotne i półpierwotne są *z natury rzeczy* (podkreślenie nasze) dualistami" (29), podczas gdy skądinąd jest przeświadczony, że „człowiek jest... istotą, która *stawała się w ciągu dziejów* (podkreślenie nasze) i jest określoną przez dzieje istotą społeczną — osadem pewnego rozwoju społecznego" (12). Pozatem hipoteza Cunowa o powstaniu totemów odbiega zupełnie od jego zasadniczego stanowiska marxistowskiego. A przecież konsekwentne stosowanie raz obranej meto-

dy rzuciłoby nowe światło zarówno na zagadnienie rozdwojenia własnej osobowości dzikiego na duszę i ciało, jak i na sprawę powstawania totemów, o ileby oczywiście, przy uwzględnieniu najnowszych badań psychologicznych, przeprowadziło się uprzednio szczegółową analizę zasobu poznawczego człowieka pierwotnego i jego sposobów rozumowania.

Brak wyszkolenia psychologicznego jest bodaj najpoważniejszym zarzutem, jaki należałoby postawić autorowi. Nie zapominałby bowiem, w przeciwnym razie, o analogjach między religją ludów pierwotnych a wierzeniami ludów kulturalnych, chociaż — jak słusznie powiada w swym wstępie J. Hempel, „analogje takie niemal same się narzucają". (XXXII). Chodzi zaś tutaj nietylko o uwzględnienie badań metapsychicznych niezbędnych dla zrozumienia wiary w czary, będącej, według niektórych badaczy, najpierwotniejszą postacią religji, lecz: o poważne liczenie się z cennemi wynikami psychologji myślenia ludzi pierwotnych, opracowanej ostatnio przez Levy-Brühla, a rzucającej światło również na „pralogiczne" sposoby rozumowania i postępowania ludzi cywilizowanych.

Tylko brak wspomnianego wyszkolenia powoduje chwiejność Cunowa, uwydatniającą się np. w niefortunnych usiłowaniach wyjaśnienia dualizmu człowieka pierwotnego. Jakkolwiek dualizm ten ma wynikać z samej „natury rzeczy", to przecież potrzeba głównie spostrzeżenia faktu śmierci, aby wywnioskować, „że wraz z krwią lub oddechem uszło z ciała coś, co tem ciałem dotąd poruszało". (28). Jak się jednak okazuje z badań von den Steinena i Frasera, przytoczonych przez autora, dzicy posiadają doświadczenie, że człowiek umrzeć może, wszakże *nie rozumieją, że umierać musi*", „że śmierć jest normalnem, nieuniknionem zakończeniem każdego życia" (26). W jaki więc sposób zjawisko, o którego konieczności powszechnej nie ma dziki najmniejszego przekonania, prowadzić musi nieuchronnie do utworzenia wyobrażenia o koniecznem i powszechnem istnieniu duszy odrębnej od ciała — pozostaje tajemnicą autora.

Przyznać należy, że daleko lepiej powiodły się Cunowowi próby materjalistycznego wyjaśnienia kultu przodków u ludów afrykańskich, następnie kosmogonji ludów pierwotnych oraz ich wyobrażeń o siedzibach duchów, wreszcie zaś rozmaitych stadjów rozwojowych kultu religijnego. Są to tytuły do niezaprzecznych zasług autora „Pochodzenia religji i wiary w boga". Czego zaś Cunow z tych czy innych względów nie rozwinął — to dopowiedział w krótkich słowach J. Hempel w doskonałym i naukowo potraktowanym wstępie, zawierającym zwięzły szkic dziejów religjoznawstwa, zarys ogólny religji oraz rzut oka na przyszłość nauki o religji.

Przekład i dopiski d-ra Mierzyńskiego zasługują na wielkie uznanie, szata graficzna książki jest bardzo starannie wypracowana, brak tylko spisu rozdziałów i skorowidza imion i rzeczy, któryby w znacznym stopniu ułatwił korzystanie z dzieła o tak wielkiej wartości.

St. R.

Spis książek nadesłanych oraz odpowiedzi redakcji — w następnym numerze.

SPIS RZECZY

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Teresa Żarnowerówna

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i czwartki od godziny 6-ej do 7-ej pp.
Konto czekowe P. K. O. 14.700
Prenumerata: Kwartalnie 4 zł — Półrocznie 7 zł. 75 gr. Rocznie 15 zł. — **Zagranicą**: Półrocznie 1 dol. St. Zjed., Rocznie 2 dolary. Cena pojedyńczego numeru 1 zł. 50 gr., Zagranicą 25 centów
Redakcja: Wspólna 20 m. 39. **Administracja**: Krucza 26
Ogłoszenia: 1 kolumna 100 zł., 1/2 kol. 60 zł., 1/4 kol. 30 zł.

Druk. „Rola" J. Buriana, Warszawa, Mazowiecka 11